



BIBLIOTEKA  
DZIEŁ WYBOROWYCH

**BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH**  
Wydawnictwo tygodniowe

Redaktor i Wydawca  
**Feliks Gadomski**

**Rok 1927. Tom 24.**

Ogólnego zbioru serja III, tom 141.

Cena tomu w prenumeracie:  
w oprowie . . . zł. 1.39

Cena tomu poza prenumeratą:  
w oprowie . . . zł. 2.20

Redakcja i Administracja  
Warszawa, Sienkiewicza 12

F. ANTONI OSSENDOWSKI.

# Cień Ponurego Wschodu

(Za kulisami życia rosyjskiego).

OF. M. OSSENDOWSKI  
LWÓW  
1927

---

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH  
WARSZAWA, SIENKIEWICZA, 12.

PRINTED IN POLAND  
COPYRIGHT BY  
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

### Wstęp do 2-go wydania.

Kilka lat minęło od chwili napisania tej książki, obecnie wyczerpanej.

Dziwne losy spotkały „Cień Ponurego Wschodu”! Nakładcy zagraniczni (w Anglii, Ameryce, Hiszpanji, Francji i Niemczech) zgłosili się do autora z propozycją wydania książki w przekładach na języki obce, żądając rozszerzenia jej nowymi rozdziałami.

Obecnie książka znajduje się już na wszystkich rynkach zagranicznych.

Krytyka europejska przyjęła ją nader życzliwie, aczkolwiek poglądy autora na genezę i charakter rosyjskiej duszy zbiorowej stały się przedmiotem ożywionej polemiki, podsycanej z jednej strony — przez koła emigracji rosyjskiej, z drugiej — przez biuro propagandy sowieckiej.

Prasa bolszewicka przez dłuższy czas sznaurowała do dzienników zagranicznych sensacyjną pogłoskę, że autor mego nazwiska nie istnieje, że jest to zwykły pseudonim, za którym się kryje znany monarchista rosyjski, a nawet... jeden z wielkich książąt.

≡ Istotnie, nie chciałbym uchodzić ani za monarchistę, ani za wielkiego księcia, lecz w gruncie rzeczy jest to okoliczność całkiem obojętna.

Najważniejszym faktem jest rzeczywistość, dowodząca prawidłowości moich wywodów.

Po napisaniu „Cienia Ponurego Wschodu” dzieje Rosji Sowieckiej potwierdziły myśli, wypowiedziane w tej książce.

Stały i szybki rozwój czerwonego absolutyzmu, krwawa polityka „czeki” i G. P. U.; znęcanie się nad poczuciem prawa; łobuzerska i bandycka polityka zagraniczna nowoczesnych carów z Kremla; walka z religją i cywilizacją; masowe zbrodnie ludożerstwa i nekrologji; rozpusta, pochody „głodnych szczurów”, jak Sowiety nazywają wędrowni zgłodniałych i chorych dzieci z północy na południe; fałszowanie myśli, przekonań, haseł; niesnaski i spory wśród emigrantów; marzenia o dawnej dynastji; zamachy, zbrodnie; szerzenie się w kołach młodzieży rosyjskiej na emigracji dążenia do pogodzenia ideologii zachodniej z psychologją wschodnią; sympatje do wschodu, do Azji — niedawnej kolebki przeważnej części narodu rosyjskiego, metysowanego przez domieszkę krwi mongolskiej — wszystko to przemawia na rzecz faktów, przytoczonych w mojej książce, dowodząc jednocześnie realności moich wywodów.

W dobie obecnej, gdy Sowiety, podburzając Daleki Wschód, naraziły się na zemstę jego, widmo zupełnej mongolizacji, w postaci przewidzianego przez filozofa rosyjskiego Włod. Sołowjewa, „żółtego niebezpieczeństwa”, jeszcze bardziej zagraża Rosji od Wschodu.

Zagraża ono też Polsce i całemu Zachodowi, mówiąc ponurym głosem o nowym „najściu tatarskim”.

F. A. OSSENDOWSKI.

CIEŃ PONUREGO WSCHODU.

Warszawa. Maj. 1927.

## Mroczne cienie wsi.

Wieś rosyjską opiewali najlepsi mistrze pióra. Lecz czy rosyjscy pieśniarze nie znali wcale wsi swej ojczyzny, czy też idealizowali ją, widząc w jej mroku to, co chcieli widzieć, a czego tam nie było i być nie mogło?

Spójrzmy na tę wieś rosyjską, niezależnie od tego, gdzie jest położona, czy w pobliżu wielkiego miasta, czy w dziewiczym lesie, gdzieś na północ od Wołogdy lub nad Kamą. Oczywiście, że im dalej od kulturalnych punktów, tem wyraźniej występują najbardziej charakterystyczne cechy wsi.

Znam osobiście dobrze siola i wsie guberni petersburskiej, ołonieckiej, nowgorodzkiej, pskowskiej, oraz wsie i osady syberyjskie.

W tych zbiorowiskach naprędce skleconych chat o dachach ze słomy, albo grubo ociosanych desek czy krąglaków, naczelne miejsce zajmuje

dom Boży—cerkiew lub kaplica wyznania prawosławnego; czasami też obok, w jakiejs już opuszczonej chacie mieści się szkoła ludowa, prawie przez dzieci włościańskie nie uczęszczana. Istnieje duchowny, istnieje nauczyciel, z których pierwszy bywa zajęty wyciskaniem z chłopów darów na plebanję i pijaństwem, drugi rewolucyjną propagandą i też pijaństwem. Lecz obok, tych przodowników religji i cświaty, tuż obok, w jednej z takich samych brudnych, cuchnących izb, mieszkają i działają czarownicy, wróżbiarze i wiedźmy... tu też, gdzieś w pobliżu gnieździ się prastare pogaństwo.

Przechowała się tradycyjna szkoła tych czarowników i wiedźm, i od jednego do drugiego przechodzą jej przepisy, przeżywszy wieki.

Czarownik jest to mężczyzna lub kobieta najczęściej starzy, którzy posiadają tajemnicę wiedzy leczenia chorób u ludzi i bydła, łagodzenia domowego demona, gdy zbyt wpadnie w gniew, tamowania krwi, wypędzania robactwa z domów, oczyszczania osobno stojących poza obrębem wsi „czarnych” łązki chłopskich od djabłów, które tam obierają sobie siedzibę, straszą ludzi i czynią im różne krzywdy: szukania koniokradów; wzywania dusz zmarłych, czynienia wróżb, odnajdywania skarbów, ukrytych w ziemi, i t. p. Obok tego czarownik lub czarownica znają doskonale botanikę, a w ciemnej historii życia wsi rosyjskiej ponurą linią przechodzi zbrodnia trucicielstwa.

Opiszę niektóre praktyki tych czarowników z własnych doświadczeń.

W guberni petersburskiej, około st. Wejmarn leży wieś Manuiłowo, w której przemieszkował przed 10-laty niejaki Sokołow, posiadający liczną rodzinę. Lecz była to typowa rodzina chłopska ze wsi podmiejskiej. Córka Helena służyła pewien czas jako pokojowa w mieście Jamburgu, lecz wkrótce była przyłapana na kradzieży i wydalona. Potem mieszkała w Petersburgu bez zajęcia jako kobieta sprzedajna. Dwóch synów Sokołowa pracowało w fabrykach, lecz zbrzydła im ta praca, więc popełnili jakieś zabójstwo, po którym jeden odbył 4-letnie więzienie, drugi zaś był zesłany na Syberję. Ten ostatni po powrocie z wygnania zorganizował bandę rozbójniczą, która długi czas bezkarnie grasowała na okolicznych drogach, oddając za swą bezkarność miejscowej policji znaczną część swoich łupów. Takiej to rodziny był głową Sokołow. Słynął jako czarownik na cały obszerny okrąg kilku powiatów. Szczególnie był popularny z powodu swojej praktyki lekarskiej.

O Bywałem często w Manuiłowie, gdyż polowałem tam, zapraszany przez miejscowego obywatela ziemskiego, p. Pawłowicza.

Pamiętam, że przywieziono kiedyś do Manuiłowa z powiatu gdowskiego cały szereg chorych, pomiędzy którymi byli chorzy na trąd i tyfus brzusz-

ny. Było też kilku weneryków. Rozpoczęło się leczenie. Trędowaty był wsadzony do beczki z gorącą wodą i nakryty szczelnie płachtami. Sokołow wrzucił do beczki jakieś zioła, mruczając przytem magiczne formuły czy zaklęcia, w których często powtarzały się słowa „nostradamus” i „szugana”. Potem zaczął okadzać beczkę z chorym dymem z suchych traw i ziół, kreśląc smołą na bokach beczki jakieś zawile, widocznie, przypadkowe znaki. Po godzinie wyjęto z beczki zemdlonego trędowatego; był czerwony, jak ugotowany rak, z oczami w ślup. Rany jego na ustach, nosie i rękach wydawały się jeszcze bardziej straszne i ohydne. Gdy ocucono chorego, Sokołow kazał mu wypić duży kubek wody z tej samej beczki ujawszy go zaś za głowę, długo wpatrywał się mu w źrenice, i rzekł poważnym i rozkazującym głosem:

— Idź, idź precz szugana, czygana choroby! Czarny tego chce! Czarny ci to rozkazuje. Idź, idź precz!

Nie wiem czy pomogła trędowatemu ta kuracja, lecz wiem, że rząd rosyjski wskutek szybkiego rozpowszechnienia się trądu w powiatach jamburskim i gdowskim był zmuszony założyć tam szpital dla trędowatych.

Tenże Sokołow leczył chorych na tyfus w sposób niemniej zadziwiający. Chorych, miotających się w malignie, wstrząsanych gorączką i dreszczem,

kładziono na śniegu na kilka minut, potem owijano w nowe płótno i mocno związywano sznurami. Tak „spreparowanego” pacjenta Sokołow forsownie karmił gorącym, miękkim czarnym chlebem, zmieszanym z proszkiem z wysuszonych karaluchów, poczem kładł mu z zaklęciami na brzuch jedną po drugiej 13 cegieł, poznaczonych jakimiś znakami i bardzo silnie ogrzanych.

Podobno ta kuracja zwykle szybko doprowadzała pacjenta do zdrowia, lecz w tym wypadku, o którym piszę, jeden z chorych zmarł z perytonitu, a znajdujący się w gronie myśliwych profesor Medycznej Akademii petersburskiej dr. med. Abramyczew pociągnął Sokołowa do odpowiedzialności sądowej.

Jednak spisany protokół zginął w kancelarii powiatowej policji, która, jak się okazało, często korzystała z porady „czarownika” Sokołowa.

Weneryków czarodziej wsadzał na 3—5 dni do kupy gnoju końskiego, wyrzuconego ze stajni. Do tej kupy wtykał on siedem laseczek różnej długości, z przywiązanymi do nich szmatkami, noszącymi jakieś znaki i zapisanymi niezrozumiałymi słowami: „prys. taczuj. habdyk”.

Bydło się leczy okadzaniem dymem z traw, proszkami ze spalonych włosów, wysuszonych żab lub nietoperzy; rany zwierząt zaleczone są roztopionym tłuszczem borsuka lub szczura. Wszystko

to się dzieje przy mruczeniu lub wykrzykiwaniu różnych niezrozumiałych słów, a nawet całych frazesów.

W gubernji pskowskiej, w powiecie ostrowskim, byłem świadkiem leczenia dziwnej choroby u koni i kobiet. Ogony i grzywy końskie oraz warkocze kobiet czasem stawały się nagle tak splątanymi, że nie można ich było w żaden sposób rozczesać. Medycyna wie, że ten objaw zależy od zakażenia się jakimś specjalnym wodorostem i że ta choroba jest właściwością miejsc bagnistych. Jednakże miejscowy czarownik postawił inną diagnozę. Orzekł, że to „domowy demon po nocach plecie warkocze kobietom i grzywy koniom, płacząc i wichrząc je, gdyż się za coś gniewa“. Dla prześlania tego demona konieczna jest ofiara.

Wybierają więc jakąś porzuconą chatę palą w niej w piecu, żeby było ciepło. Za piec kładą różne szmaty, stare kożuchy, na których, jak wiadomo, lubi się wylegiwać demon. Na podłodze krwią czarnego koguta zakreślają koło, w którym stawiają mleko, miód, ięczmienną kaszę i sól dla demona na ucztę.

Do ciemnej, gorącej i dusznej izby wprowadzają przed północą młodą dziewczynę, z rozpuszczonymi włosami i związanymi rękami. Włosami tej ofiary musi się zabawić demon i dać spokój reszcie kobiet. Po takim prześlaniu domo-

wego demona, jego ofiara zwykle 14—15 letnia dziewczynka, częstokroć wpada w stan obłąkania, lub hysterji i prawie nazawsze pozostaje nienormalną, ale za to bardzo poważaną w całej okolicy, gdyż „widziała demona“, a on ucztował z nią i częstował wódką, której flaszkę stawiają przy związanej dziewczynie.

Czarownicy docierają nawet do takich miast jak: Petersburg, Moskwa, Odesa, Kijów i Charków. Prawda, że tu ich praktyka rozwija się wśród najciemniejszych i najuboższych warstw ludności przedmieści, lecz czasami zupełnie niespodzianie zjawiają się oni nawet w pałacach.

Przypominam sobie rok 1897. Udzielałem lekcji dzieciom wysokiego urzędnika, który mieszkał w pięknym pałacu księcia Leuchtenberga, spokrewnionego z rodziną carską. Pewnego dnia mój uczeń oznajmił, że w kuchni, oraz w jadalnym pokoju rozmnożyły się karaluchy i zawołano „czarownika“, aby je wypędził. Poszliśmy spojrzeć na to widowisko.

Czarodziej, mały, obszarpany staruszek, złapał właśnie jednego karalucha, uważnie obejrzał go, podniósł do swoich ust i zaczął coś do niego szeptać, powtarzając coraz częściej wyraz „yg“.

Po kilku minutach takiej rozmowy z karaluchem, wyjął kredę z kieszeni i na grzbiecie jego nakreślił jakiś znak, poczem puścił go na wolność

Karaluch natychmiast skrył się w szparze w kredensie, czarownik zaś dostał rubla i odszedł. Na jutro mój uczeń powiadomił mnie, iż kucharka zaklina się, że widziała jak naznaczony przez czarownika karaluch obiegł wszystkie skrytki, zebrał wszystkich swoich rodaków w wielki oddział i ruszył z nim w świat z pałacu Leuchtenbergów.

— Czy zabrały ze sobą bagaże i żywność? — spytałem chłopca.

Zaśmiał się wesoło i odrzekł.

— Po lekcji zapytamy o to kucharkę... napewno zapytamy.

Przechodząc w 1920 roku przez Syberję, zdarzyło mi się nocować w jednej wsi. Byłem zmęczony długą konną jazdą i zakurzony od stóp do głowy, przeto z wdzięcznością przyjąłem propozycję gospodarzy, abym się wymył w łaźni.

— Słuchaj-no żono! — odezwał się gospodarz, — gościa samego nie puszczaj do łaźni. Poszlij chłopca po Maksyma, niech z gościem idzie.

— Ja się doskonale obejdę bez pomocy! — żywo zaprotestowałem.

— Nie panie, tak nie można! Może panu coś się złego stać jeżeli pan pójdzie bez naszego czarownika — poważnym głosem rzekł gospodarz.

— Dlaczego? — zapytałem ze zdumieniem.

— A bo to widzicie, panie, w naszej łaźni diabli obrali sobie siedlisko i straszą ludzi — objaś-

niał mnie chłop — onegdaj zrzucili jedną staruszkę z ławy, a ona zawadziła o kocioł z gorącą wodą, poparzyła się i umarła...

Nie chciano mię puścić samego, więc musiałem czekać na Maksyma, ogromnego chłopca z grzywą powichrzonych siwych włosów i z białą brodą patriarchy.

Gdy zbliżyliśmy się do małej łaźienki, stojącej na skraju warzywnego ogrodu, Maksym zatrzymał się i zawołał:

— Bies, czort, czarny djabeł, mały czy duży, zły czy wesoły, to jał to jał!

Weszliśmy.

W łaźni było gorąco, czadno, parno i duszno. Zapaliliśmy kaganiec. Wtedy z ciemności wyłoniły się niejasne kontury różnych przedmiotów. Olbrzymi masyw rosyjskiego pieca, dwie proste ławy, kadzie z zimną i gorącą wodą, kupa kamieni, czarnych i rozpalonych dla wytwarzania pary przy wylewaniu na nie wody.... Niepewne, migotliwe blaski kagańca biegły po podłodze, ścianach i pułapie czasem żywiej zapalając się na ruchomej powierzchni wody w kadziach.

Nareszcie Maksym, rozebrawszy się, wyjął jakąś miotelkę z suchych traw, umoczył ją w gorącej wodzie i usiadłszy na podłodze w najciemniejszym kącie, zaczął rozmawiać z kimś niewidzialnym, przyprowadzając swoją mowę wykrzyknikami:

„A kyszl A kyszl” i kogoś zlekka uderzając swoją miotką.

W kącie oczywiście roilo się od istot, szarych, czarnych, lub czasami zupełnie przejrzystych. Do nich to gadał, ich to zlekka chłostał stary czarownik, który nie chciał wiedzieć i widzieć, że to cienie chybkie i chyże od migającego światła kagańca miotały się, jak myszy, błyskawicznie i prawie niewidzialnie.

— No, teraz nie przyjdą! — rzekł nareszcie stary uspokojonym głosem.

Oczywiście nie przyszły i wymyłem się doskonale.

Zamiłowanie do kradzieży koni jest cechą narodu rosyjskiego. Niezawodnie jest to pozostałością atawistyczną po przodkach, mongolskich koczownikach, lub fińskich poganach, a nawet prawo karne było zwykle bardzo problematycznie stosowane w sądach rosyjskich przy rozpatrywaniu spraw koniokradaów. Jest to ciekawa osobliwość plemienna. Wszyscy koczownicy, nawet bogobojni i absolutnie uczciwi Mongołowie z Chałchi, są koniokradaami. Kradzież koni — jest to rodzaj rycerskiej wyprawy, dowód odwagi i zręczności, gdyż w takiej wyprawie człowiek tylko na siebie liczy, depce prawo i pozostaje poza niem.

Prawo stepowe mongolskie, przeniesione do uadwołżańskich stepów i prawo Indian [północu

Ameryki wyraźnie zaznaczają, że kradzież koni jest ciężkiem przestępstwem, lecz o zastosowaniu go tradycja milczy, dając możność poszkodowanemu w dowolny sposób odebrać konia i pokarać zbrodniarza.

To też widzimy, że w Rosji przyłapany koniokrad zawsze ginie w najokrutniejszy sposób przy dokonaniu sądu doraźnego, a sąd państwowy dość pobłażliwie patrzył na to obyczajowe prawo Lynch'a.

Rosyjski chłop, gdy nie mógł po śladach wytropić złodzieja, dogonić go i schwytać, szedł do czarodzieja — „koniewika”, czyli specjalisty od koniokradaów. Ten go wysłuchiwał uważnie i radził przyjść w nocy, a przynieść uzdę, która była nakładana na skradzionego konia, gnoju ze stajni i korzec owsa.

Byłem świadkiem takiego czarowania w powiecie wałdajskim gub. nowgorodzkiej.

Przyszliśmy z poszkodowanym chłopem do czarownika około godziny 10-tej wieczorem. Zapukaliśmy do drzwi. Czarownik kazał chłopu rzucić trochę owsa przy każdym rogu chaty, a uzdę uderzyć w jedyne okno we wschodniej ścianie. Gdy to uczynił, w oknie się zjawilo światło, i czarownik pozwolił nam wejść.

W małej, niskiej izbie było duszno. Przy piecu płonął wetknięty w szczelinę pomiędzy po-

pękane kamienie kawał smolnego łuczywa. silnie dymiący. Przy krwawych blaskach ognia, zobaczyłem zwieszające się od pułapu uzdy, ogony i skóry konskie, pęki traw i ziół, oraz czarne od dymu woreczki.

Przed piecem siedział czarownik-koniowik, mały siwy człeczyna o mocno zezowatych oczach i rozwartych ustach, odsłaniających czarne, zgniłe zęby. Patrzył badawczo i trwożnie zarazem.

Wziął od chłopca uzdę, starannie ją badał, wachał. twardość rzemienia na zębie próbował, aż nagle głośno i przeraźliwie zawył.

— Konia uprowadzili... konia gonią daleko.... daleko.... koń dobry.... W pianie cały.... rzy.... rwie się do domu.... Trzu .....Gospodarski masz tu owies... Ta...ta...ta, koniku... chodź tu... chodź!

Mówiąc to rzucił na węgle w piecu owies, wpatrując się w biegające po węglach wężyki niebieskiego i złotego ognia.

Wstał, zerwał z pułapu wiązanek jakichś traw i rzucił na węgle.... Skręciły się suche badyle i liście, wyciągnęły się potem jak węże i buchnęły płomieniem. Stary wrzucił do pieca trochę gnoju konskiego. a gdy buchnął dym, pochylił się nad węglami i jął szeptać...

— Koń... koń... Wielka droga.... szosa... trzy chaty... Sosna spalona... łąka ze szczytnym sto-

giem siana... Wysoki chudy chłop prowadzi konia... Ma ogoloną głowę, bliznę na czole i kuleje....

— Znam go, znam!—zawołał chłop.—To Kuźmał Cygan z Nieszetłowa. Już mi się nie wymknie tym razem!

I z tymi słowy wypadł z chaty. Poszedłem do domu, a w parę dni dowiedziałem się, że chłop, zabrawszy ze sobą dwóch synów i zięcia, napadł na Kuźmę Cygana, związał go w jego własnym domu i przywłókł do wsi.

Tu zaczęto go bić, wyłamywać stawy i wyrywać włosy, żądając, aby powiedział, gdzie ukrył konia. Kuźma zaklinał się na wszystkie świętości, że konia nie widział i nie kradł, lecz tłum nie wierzył. Rzucono się do niego powtórnie, bito i znęcano się nad leżącym „koniokradem“, aż któryś z bardziej namiętnych katów wbił mu w brzuch widły i pozbawił życia.

Ciało zawleczono na puste pole i zakopano w ziemię, a w kopiec wbito pal. Jest to emblemat starego prawa Złotej Hordy, rozkazującego, żeby złapany koniokrad był nabijany na pal. Jednak taka egzekucja potrzebuje zbyt długiego zachodu, łatwiej pal wbić w kopiec, pod którym leży zabity widłami i pięściami, wskazany przez czarodzieja-koniowika domniemany winowajca.

Kult demoniczny czyli szamaństwo jest całkiem zrozumiały na strasznej pustyni północy, gdzie

natura włada całymi chórami różnych, a straszliwych głosów, gdzie wichry, dmące od Lodowatego Oceanu, łakną śmierci, gdzie trzęsawiska zieją zarazą, gdzie dziki zwierz i zdiczały człowiek noszą w swych jarzących się z głodu i rozpaczyc oczach — śmierć, gdzie wreszcie, ziemia i powietrze są przesycone krwią, łzami, jękami i przekleństwami tych, których carowie rosyjscy i ich inteligentna biurokracja rzuciła na pastwę samotnych mąk i śmierci za jedno tylko dążenie do wolności... dając im wolność bezgranicznej pustyni śnieżnej, na której jak kamienie w otchłani oceanu zginęły bez śladu setki i tysiące mogił tych męczenników.

Dla tych przeklętych przez Boga i ludzi miejscowości odpowiedniem wydaje się ponure szamaństwo, rozpowszechnione wśród wymierających, dzikich plemion koczowniczych.

Lecz przecież w samej Rosji, tuż pod stolicą, można było spotkać swojskich szamanów.

Znałem dwóch takich...

Byłem wtedy jeszcze uczniem gimnazjum. Spędzałem letnie wakacje z moim przyjacielem doktorem na półwyspie Kolskim. Przejeżdżaliśmy przez gub. ołoniecką i w odległości kilkunastu kilometrów od miasta Pietrozawodska, wypadło nam pozostać na nocleg w dużej wsi.

Zatrzymaliśmy się w miejscowym zajeździe brudnej, wstrętnej budzie, przesyconej zapachem wilgoci i wódki.

Po kolacji udaliśmy się do swego pokoju, aby sporządzić więcej nabożów do naszych dubeltówek gdyż, jadąc konno w tych słabo zaludnionych miejscowościach, dużo polowaliśmy.

Gdyśmy już zaczęli swoją robotę, ktoś cicho i ostrożnie zapukał do drzwi. Po chwili wszedł mały człowiek wychudzony, blady w obcisłym, długim czarnym ubraniu. Był podobny do służki klasztornej. Jednak twarz tego człowieka zwracała na siebie uwagę z powodu ogromnych, palających i przenikliwych oczu.

Żywo pamiętam, że mimowoli uczulem strach przed tym człowiekiem, tak ostro świdrującym nas swym gorejącym wzrokiem.

— Czego sobie życzycie? — zapytał doktor, wsypując do gilzy miarkę prochu i nie podnosząc na gościa oczu.

— Przyszedłem wywołać wam duchy! — poważnie odparł mały człowiek.

Miarka wypadła z rąk mego przyjaciela, który patrzył przez okulary zdumionym wzrokiem na mówiącego.

— Duchy? — zapytał podnosząc ramiona.

— Tak jest — duchy, — spokojnie odezwał się gość.

— Więc kim jesteście? — dalej rozpytywał doktor.

— Jestem „kołdunem”, szamanem! — brzmiała obojętna odpowiedź. — Wywiozłem tę wiedzę z tundry Małej Ziemi, gdzie koczujące plemiona posiadają tajemnicę obcowania ze zmarłymi i duchami.

— Bardzo ciekawel — zawołał doktor. — Lecz tu przecież nie możecie wywoływać dusz zmarłych lub jakichś duchów?

— Mogę! Mogę chociażby natychmiast, — uśmiechnął się szaman. — Kosztuje to tylko trzy ruble, panowie!

W oczach jego zamigotało błaganie i obawa, że nie przyjmimy oferty.

— Dam trzy ruble! — zgodził się doktor. — Proszę przystąpić natychmiast...

— Odrazu, natychmiast! — ucieszył się szaman, skwapliwie chowając podane mu papierowe banknoty. — Proszę sięść w głębi pokoju i zgasić światło!

Zdażyłem zauważyć, że wyjął z kieszeni małą, cienką deseczkę i przyłożył ją do ust.

Siedzieliśmy w milczeniu i ciemności. Tylko blade światło naftowej lampki, posyłało z przeciwległej chaty skąpe promienie. Pozwalało to nam widzieć czarną postać szamana, stojącego nieruchomie w pobliżu drzwi. Nagle rozległ się cichy, ledwie dosłyszalny dźwięk podobny do brzęku skrzydeł muchy, która wpadła w pajęczą sieć.

Dźwięk ten pomału stawał się głośniejszy, aż nareszcie wydało mi się, że wypełnił cały pokój, że rozbił się na dziesiątki, setki nut, które tłukły się o szyby okna, o brudny sufit, oklejony papierem, o ściany; dźwięki drżące, piskliwe lub huczące i basowe nosiły się w szalonym wirze po izbie, zbliżały się do samych uszu, to znowu biegły gdzieś daleko, daleko, aż milkły prawie. Jakiś dziwny niepokój ogarniał mię, jakieś niezrozumiałe przeczucia dręczyły duszę, w której ciążyło coś chorobliwego i ponurego.

Czarna postać szamana, słabo rysująca się w ciemnościach, zaczęła się słaniać i wachać. Naraźie powolnie, metodycznie, później szybciej i namiętniej, aż ruchy przeszły w szybkie, prawie nieuchwytnie skoki, skręty, rzuty. Szaman zaczął się obracać na jednej nodze coraz szybciej, aż po kilku minutach upadł znużony i zdyszany, urywanym głosem krzycząc przeraźliwie.

— Przyszli!... przyszli!...

Całe tłumy dźwięków po dawnemu tłukły się i ganiały po ciemnej izbie, zmieniając się w jakiś wicher, burzę i zamęt, odczuwany z fizycznym prawie bólem. Jakieś podmuchy wiatru przenosiły się po pokoju, czułem jak wichrzyły mi włosy na głowie i poruszały papier, leżący na stole. Jak długo to trwało — nie zdawałem sobie sprawy. Wiem tylko, że ręce stały się lodowate, a na czoło

występowały mi krople potu. Wzrok stał się nadzwyczaj ostry. Już zupełnie wyraźnie widziałem leżącą na ziemi postać szamana, odróżniałem jego bladą, prawie świecącą się twarz i szeroko rozwarę, palające źrenice. Trzymał w ręku tę samą deseczkę i wodził po niej ustami, wydobywając z niej dźwięki.

Nagle w różnych miejscach pokoju w ciemności na jedno mgnienie oka zabłysły zielonawe, fosforyczne ogniki i zgasły. Jeszcze raz .... jeszcze... Dźwięki raptownie zamarły w powietrzu, ... dmący w twarz wiatr wzmógł się na sekundę, błysnęło kilka płomyków pod sufitem i wszystko zgasło, umilkło, uspokoiło się, jak gdyby spadła jakaś ciężka, czarna zasłona. Szaman nie dawał znaków życia i nie odpowiadał na zapytania doktora, czy można zapalić lampę.

Gdy światło zabłysło w pokoju, zbliżyliśmy się do szamana. Leżał z zamkniętymi oczyma i mocno ściśniętymi ustami. Z nosa wypływała cienka struga krwi, a około ust głębiej się zarysowały zmarszczki bólu.

Podnieśliśmy go i posadziliśmy na kanapie. Podniósł powieki i wyszeptał:

— Wódki!

Doktor nalał mu duży kieliszek wódki z myśliwskiej flaszki. Szaman, szczękając zębami o szkło, wypił, przeciągnął się i wstał.

— Dziś źle się udało ..... Przyszły lecz zatrzymały się zdaleka. .... i nie chciały zbliżyć się.

Po chwili wyszedł.

Mój przyjaciel doktor poklepał mię po ramieniu i rzekł:

— Daleko zdrowszą rozrywką jest strzelanie do dzikich kaczek i cietrzewi, niż wzywanie duchów. Lecz uspokój się mały! To nie są czary. Monotonne dźwięki również jak jednostajny ruch są doskonałym środkiem dla zahypnotyzowania. Ale musimy spieszyć się z robieniem naboju! Rozwiąż worek ze śrótą Nr. 3.

To było pierwsze moje spotkanie z szamanem — „kołdunem“.

Drugie było w kilkanaście lat później na brzegach Pacyfiku.

Było to na początku mojej naukowej kariery, gdy studjowałem genezę kamiennych węgli Dalekiego Wschodu. Działo się to nad rzeką Tudagou w kraju Usuryjskim.

Rozbiliśmy namioty w dębowym i orzechowym lesie, nic nie podejrzewając, przygotowywaliśmy swój obóz na dłuższy tu pobyt, gdy naraz przybyło do nas dwóch konnych „Oroczonów“<sup>1)</sup>. Oznajmili,

<sup>1)</sup> Oroczone są to koczownicy, myśliwi z plemienia mongolskiego, które już prawie wymarło.

że tu nie możemy zstać, gdyż jest to cmentarz droczonowski. Widząc moje zdziwienie, tubylcy, wyprowadzili mnie na niewielką polanę i wskazali na wierzchołki drzew. Zauważyłem kilkanaście długich, czarnych przedmiotów, wiszących na gałęziach drzew.

Były to ciała zmarłych. Oroczonowie owijają swoich nieboszczyków w jelenie skóry, obkładają kawałami dębowej kory i mocno obwiązują rzemieniem, poczem zawieszają na gałęziach wysoko ponad ziemią.

Widząc, że nie chcę porzucić swojego obozu, Droczonowie zaproponowali mi uraczyć ich wódką, za co podjęli się przywieść szamana, który miał wezwać dusze wiszących nieboszczyków i zapytać je o pozwolenie koczowania w obrębie ich posiadłości.

Wieczorem przybył szaman. Był to młody chłop o twarzy zczerniałej i pooranej przez ospę. Ubranie miał z różnobarwnych łachmanów, ze zwieszającymi się do ziemi paskami wymalowanej na czerwono i żółto skóry. Miał olbrzymi bęben i długą drąg z wiszącymi na nim dzwonkami i piszczalką, zrobioną z kości jelenia.

Odrzucając przystąpił do czynności. Zaczął zawzięcie bić w bęben, grać na piszczalce i potrząsać dzwonkami. Wkrótce pozostał tylko przy piszczalce, zaczął skakać i kręcić się, wysoko

podrzucając nogi. Przeraźliwe nuty piszczalki coraz częściej przerywały się wysokimi falcetowymi krzykami i jękami szamana. Kręcił się z szaloną szybkością, twarz mu nabrzmiała, usta rozděły się, oczy nalały krwią, z poza zaciśniętych kurczowo zębów płynęła piana.

Padł nareszcie na ziemię i długo drgał, jak gdyby konał, a chociaż nie wydawał już żadnych dźwięków, jednak w powietrzu huczał jeszcze bęben, dźwięczały dzwonki i piszczalka i rozlegały się przeraźliwe i jęśliwe głosy, powtarzane przez echo leśne i przez tę głęboką ciszę, które znają tylko ciepłe, znużone od skwaru słońca, rozmarzone, rozkołysane noce lipcowe...

Gdy szaman powstał, zapytaliśmy go, czy możemy pozostać. Odpowiedział potakująco i, wzięwszy trochę soli i mięsa, rzucił to na cztery strony świata, przynosząc ofiary gościnnym dla nas душom zmarłych Oroczonów.

Ważną rolę w życiu wieśniaków rosyjskich odgrywa sztuka wróżbiarska. Twierdzą, że w ojczyźnie wróżbiarstwa—Tybecie i Mongolji, nie widziałem takiego rozpowszechnienia tych praktyk, które zresztą mają tam charakter kultu religijnego, gdy w Rosji wróżbiarstwo jest nauką „czarną,” idącą od złych duchów. Z tego to powodu kryje się w odosobnionych chatach, a wychodzi na jaw tylko w nocie ciemne i burzliwe, tylko w porze

spóźnionej, gdy wszelkie „złe siły” grasują po ziemi, zaglądając do ciemnych chat jeszcze bardziej ciemnych chłopów, których duszy nikt nie poznał.

Żaden chyba naród nie przywiązywał tyle wagi do znaczenia wróżby, co naród rosyjski. Nie tylko dzika i ciemna wieś, lecz mieszczaństwo, warstwy robotnicze, którym ich przywódcy wszczepiali pseudo-kulturę, oraz wyższe klasy społeczeństwa rosyjskiego często w bardzo poważnych wypadkach życiowych uciekały się do wróżbiarzy.

Jeżeli w Zachodniej Europie, oraz w Stanach Zjednoczonych rolę, którą odgrywają chiromanci, jasnowidzący i wróżbiarze, objaśnić można szczególnie w dobie wielkiej wojny światowej pewnem dążeniem do mistycyzmu, w Rosji jest to objawem żywiołowym i atawistycznym par excellence.

Cygańska sztuka wróżby z kart, siedmiu lub trzynastu kamyków, bobów lub kości miała duże powodzenie i wielu bardzo wprawnych praktyków-wróźbiarzy. Każda stara kobieta wiejska, każdy starzec ze wsi posiadał tę sztukę, uprawiały ją także z większem lub mniejszem powodzeniem wszystkie kobiety wiejskie. W miastach zdarzało się to samo, i można twierdzić z pewnością, że w takich miastach jak Petersburg lub Moskwa nie było ulicy, gdzie nie moglibyśmy odnaleźć jednego lub kilku najbardziej dzielnych wróżbiarzy lub wróżbiarek mających dużą klientelę i stały, a znaczny

zarobek. Oprócz tego w tychże miastach cieszyli się rozgłosem specjaliści, szczególnie wprawni wróżbiarze, w których lokalach, ozdobionych jaskrawymi wschodnimi draperjami i kobiercami, wypchanymi sowami i jaszczurkami oraz oszklonymi pudełkami z wysuszonymi nietoperzami, ropuchami i żmijami, zdarzało się spotkać prostą babę z popółstwa, tłustego mieszczucha-rzeźnika, bladego robotnika z bojówki rewolucyjnej, podejrzaną damę z półświatka obok nawskroś „uduchowionej” i eleganckiej przedstawicielki najlepszego high-life'u.

Była to manja, choroba, zboczenie, lecz przyczyny tego leżą głęboko w duszy człowieka rosyjskiego.

Arabskie wróżbiarstwo z fusów od kawy posiada też dużo zwolenników szczególnie w Moskwie, a w pałacu hr. Klejnmichelów ta sztuka podczas upadku dynastji uprawianą była w szerokim zakresie, gdyż na powierzchni gęstej, czarnej kawy chciano koniecznie odczytać losy „ubóstwianych” Romanowych oraz tych, których dobrobyt i wspaniałość całkowicie od łaski tronu zależały.

Raz jeden byłem świadkiem wróżby tego rodzaju w domu pewnego wysokiego urzędnika, którego żona, pochodząca z arystokracji, często się ucie-

kała do wróżby. Czyniła to znana wróżbiarka Irma Galesko.

W półmroku buduaru, oświetlonego jecną tylko lampką o dość ciemnym abażurze, Rumunka długo rozpatrywała czarną powierzchnię kawy i fusów, podanych w trzech filiżankach. Patrzyła na to z góry i pod światło, czasem z lekka dmuchając na zawartość filiżanek, lub dotykając ich zręcznym ruchem długiego czarnego pióra. Najważniejszą częścią operacji było ustawiczne szepkanie niezrozumiałych wyrazów zaklęć. Po długim badaniu zawartości filiżanek, Rumunka wylała całą kawę do białej płaskiej wazy, rzuciła do niej szczyptę ziółek i znowu zaczęła dmuchać na kawę i dotykać jej czarodziejskim piórem.

Nareszcie zaczęła mówić, jak gdyby widząc coś na nieruchomej powierzchni fusów lub czytając jakieś pismo, napisane na nich. Uważnie patrzyłem na zawartość wazy, lecz nic nie dojrzałem i rozumiałem, że cała ta operacja z przelewaniem kawy, z piórem, dmuchaniem i zaklęciami była prostą dekoracją, na tle której wróżka snuła swoje przepowiednie, sprytnie analizując charakter domu i życzenia swej klientki.

W narodzie rosyjskim największe powodzenie mają te formy wróżbiarstwa które początek swój biorą w wiekach pogaństwa. Są to wróżby z krwi wody. Wszystkie te postacie wróżb widziałem

w guberni pskowskiej, najbardziej zapewne zafascynanej i przechowującej zazdrośnie wśród swoich bagnistych obszarów, w gęstych lasach lub pośród piaszczystych wydmy na rzece Wielkiej i na posępnych wybrzeżach pskowskiego jeziora, owianego ponurymi legendami z eposu iscie pogańskiego.

Nieraz będę wracał do guberni pskowskiej, odległej od stolicy Rosji o 4 godziny jazdy koleją, jako bardzo typowej dla całego narodu rosyjskiego.

Było to we wsi Załużje, otoczonej całą siecią bagnistych jezior i rzeczulek. W okolicach tej wsi grasowała cholera, unosząca coraz więcej istnień ludzkich. Trzeba było dowiedzieć się, kto spowodował epidemję do tego zapomnianego przez Boga i ludzi kąta. Uczynić to mógł tylko wróżbiarz. Przywieziono jakiegoś omal że nie stuletniego starca, którego umieszczono w osobnej izbie tuż pod lasem na brzegu zarośniętego sitowiem jeziora. Po zachodzie słońca zaprowadzono do chaty czarnego barana i przywieziono stary młyński kamień.

W nocy gdy zaczęły po raz pierwszy pisać koguty, wróżbiarz wyprowadził z chaty barana z uwiązanymi do rogów i szyi pękami traw i ziół, przerznął mu gardło i krwią zboczył młyński kamień, poczem rozpałił ognisko, coś szepcząc i wykrzykując. Gdy na dnie ogniska zaczęły się tworzyć większe ilości węgla, wyjmował go palcami

wrzucił na kamień. Krew się zwarzyła wkrótce, i utworzyła dużo większych i mniejszych zczerniałych kawałków. Nad kamieniem podniosła się para i dym, a wróżbiarz, wicherząc na sobie włosy i brodę i szeroko roztwierając wyblakłe od starości oczy, jął krzyczeć przeraźliwym i urywanym głosem.

— Widzę w dymie krwawym i w oparach czerwonych... mogiły i bladą straszną śmierć... Przed nią idą ludzie, nie znam ich, nie są z naszych okolic... Idą i wrzucają do wody rzek i studni, do obór, do spichrzów ziarna choroby, co niszczy i zabija nasz lud... krwią, tylko krwią należy zwalczyć śmierć... Widzę, widzę to w czerwonych, krwawych oparach i dymie...

Chłopi stali, ponuro milcząc, głęboko zamysłeni. Umilkł wróżbita, i słychać było tylko ciche syczenie płomienia ogniska, lekki trzask spalonych kawałków zważonej krwi, przyspieszony oddech tłumu i szum sitowia nad jeziorem. Zdaleka dochodziły krzyki nocujących na jeziorze dzikich kaczek, głuchy ryk zbłąkanej krowy i ujadanie psów. Czerwcową noc była pełna tajemnicy, zachajona, gotowa ukryć wszelką zbrodnię wszelki przejaw pierwotnej żywiołowej natury ludzkiej, i, zdawało się, że słuchała niewypowiedzianych myśli tego ciemnego tłumu, zalanego krwawymi blaskami ogniska. Mimowoli przeniosłem się myślą do tych prastarych czasów, gdy

być może, na tem samem miejscu stał drewniany posąg boga Perkuna, a kapłani w białych, płócien-nych szatach i w wieńcach na głowie, nożami ofiarnymi przelewali krew poświęconych zwierząt ogniem płonącym na ołtarzu, tak samo, jak teraz, były wtedy oświecone przerażone tłumy, wydające się zbiorowiskiem krwawo-szkarłatnych widm...

Tak się odbywała wróżba, a w parę dni później tłum chłopów schwycił lekarza i felczera, przysłanych z miasta dla walki z epidemią, zabił ich drągami, a ciała wrzucił do bagnistej rzeki. Zaczęły się dochodzenia, sądy i wyroki, po których na Syberję i do więzienia poszły nowe tłumy ponurych chłopów, których jedyną zbrodnią była ciemnota duchowa.

Innym znów razem już w pobliżu Piotrogradu, w mieście Gdowie, widziałem wróżbę na wodzie.

Wróżka nalała do szklanej misy wodę i zwróciła się do swej klientki z prośbą o obrączkę ślubną.

Chodziło o dowiedzenie się o losie jej męża który wyjechał był w długą podróż i nie dawał znaków życia.

Kobieta wręczyła wróżce obrączkę, którą ta opuściła z zaklęciem na dno misy i schyliła się nad naczyniem. Wróżka, mruczac jakieś słowa, dmuchała na wodę, której powierzchnia marszczyła się i drgała. Długo nie widzieliśmy. Aż na-

reszcie wydało mi się, że otwór obrączki jest jakby małym okienkiem w ścianie, za którą mieści się duży pokój. Zauważyłem bardzo szczegółowo umeblowanie i ogólny plan pokoju, gdy naraz wszedł niemłody mężczyzna o spokojnej i uśmiechniętej twarzy. Widziałem wyraźnie każdy szczegół jego oblicza i ubrania. Naraz mężczyzna zbladł, złapał się za pierś i upadł na ziemię. Nad leżącym nagle zaczął zapadać zmrok. Obrączka wydała mi się wtedy otworem, przebitym w dnie naczynia. Wróżka i jej klientka były blade i wzruszone. Wróżka rozpaczliwie trzęsła głową i szeptała:

— Zła wróżba, bardzo zła!... Umrze... nie! umarł raczej... Niezawodnie.

Dziwny wypadek chciał, żeby się wróżba spełniła. Nazajutrz przyszedł telegram, że mąż mojej znajomej nagle umarł wskutek ataku sercowego, chociaż pomyślnie zakończył swoje sprawy i miał tego dnia wyjechać z powrotem do domu.

### Szukanie skarbów.

Każda okolica w Rosji posiada swoje legendy o skarbach ukrytych w ziemi. Nie jest to rzeczą dziwną. Ponad Rosją wiele razy w przeciągu jej historii mknęły burze wojenne, a ludność kryła swe

skarby w łonie matki ziemi, więc jest zrozumiałem że sporo bogactw w niej pozostało. Były też i inne przyczyny, o których mówią legendy.

Cały szereg zewnętrznych oznak wskazuje na miejsca ukrytych skarbów: skrzyżowanie trzech dróg, stare drzewa, przy drogach rosnące, kupy omszałych kamieni, złożonych niegdyś rękami ludzi, zwaliska oddawna nieistniejących zamków warownych, pałaców i grobowców, strome urwiska nad brzegami rzek i jezior, samotne wysepki na wielkich jeziorach, kępy gdzie lubią zakładać swe gniazda czajki, lub żorawie.

Pierwszy lepszy chłop, znający te „pewne“ miejsca skarbów, mógłby wydobyć je z głębi ziemi, lecz cała trudność i niebezpieczeństwo takiego przedsięwzięcia tkwi w tem, że przy skarbie ukrytym siedzi na straży albo jakiś potwór, albo dusza pokutnika, albo wogóle jakaś zła „czarna siła“. Trzeba mieć środki do odpędzenia tej siły, zawładnięcia skarbem i przywiezienia go do domu, co jest rzeczą niebezpieczną. Wróżbiarz—czarownik potrafi wskazać odpowiednią skrytkę skarbu, sposób wykopania jego, oraz środki ochronne od „czarnej siły“.

Wróżbiarz, dostawszy zapłatę za poradę, po pewnym czasie przywołuje do siebie klienta i oznajmia mu, w jakim miejscu znajdzie największy skarb i z jaką złą siłą będzie miał do czynienia. O-

trzymawszy nową część honorarjum, wróżbiarz-czarownik zaczyna przygotowywać śmiałka do spotkania się i walki z djabłem, lub jego wysłańcami. Szukający nie powinien się przerażać, to też wróżbiarz przemywa mu oczy i uszy odwarem różnych magicznych ziół; powinien być obojętny na jadowite ukąszenia różnych owadów i żmij, które, pełniąc wolę diabła, z chwilą zbliżenia się człowieka do ukrytego skarbu, gromadzą się tu i napadają. Wobec tego czarownik przygotowuje dwie maście: — jedną z tłuszczu niedźwiedzia z korą starej łoziny, lub osiny, na której niegdyś powiesił się jakiś samobójca. Od takiej maści skóra człowieka nie będzie drżała ani z zimna, ani ze strachu. Drugą maść robi z tłuszczu borsuka, zmieszanego z proszkiem z wysuszonych ropuch i pajaków, co zabezpiecza od żmij.

Najpoważniejszymi momentami całej wyprawy jest odpędzanie od skarbu, broniącej go „złej siły” oraz zabezpieczenie się od napadu jej w drodze po zdobyciu skarbu. Pierwsze zadanie rozwiązuje się w ten sposób, że czarownik daje klientowi pęk magicznych roślin, które ma on w chwili stanowczej zapalić, by dymem odpędzić diabła. Drugie zaś zadanie jest trudniejsze, bo zmusza śmiałka, najczęściej niepiśmiennego, do nauczenia się dość długiego i pogmatwanego zaklęcia.

Magiczną formułę chłop musi powtarzać

w kółko co siedem kroków, a przed zamknięciem drzwi swego domu powinien wymówić ostatnie słowa zaklęcia.

Ostrożny czarownik nakazuje poszukiwaczowi skarbu, przed wyjściem z domu po skarb, wygłosić dość długą formułę, to też jeżeli się przedsięwzięcie nie uda, czarownik twierdzi, że początkowa, lub ostateczna formuły były wygłoszone nie podług jego wskazówek, lub reguły.

### Truciciele.

Dramat życiowy ma swoje prawa wszędzie. W pałacach książąt i bankierów i w ubogich, słomą krytych chatach chłopów. Nienawiść, zdrada, zemsta, zawiedziona miłość, zbrodnicze instykty gnieźdzą się nie tylko w miastach, lecz również i w małych, zatraconych wśród stepów, gór, lub błot, wsiach, gdzie jeszcze pozostały namacalne ślady ponurego pogaństwa, lub psychiki mongolskiej, psychiki koczownika, burzyciela i niszczyciela w imię zburzenia i zniszczenia.

Najczęściej dramat bywa zakończony albo pchnięciem noża, albo uderzeniem siekiery lub „kiścieniem”<sup>1)</sup>. Lecz ten sposób załatwienia porachun-

<sup>1)</sup> Kiścień to pierwsza broń ludzi. Jest to kamień lub kawał żelaza, uwiązany na rzemyku lub łańcuchu do krótkiego, a mocnego kija.

ków powoduje odrazu dochodzenia sądowe i wymierzenie sprawiedliwości, przeto palający zemstą człowiek ucieka się do innych sposobów, w których mu pomaga „wiedunja”, czyli stara kobieta, która zna się na trutkach wszelkiego rodzaju.

Te rosyjskie wiejskie Lokusty są doskonałymi botanikami, a coraz częściej zapominana i zarzućana władza właściwości różnych traw, ziół, kwiatów i korzeni przechowuje się starannie pośród „wiedźm”. Te kobiety przez cały prawie rok, z wyjątkiem chyba najsurowszych miesięcy zimowych blakają się po polach i puszcach, zbierając rośliny, potrzebne dla uzdrowienia, lub uśmiercenia ludzi, oraz dla różnych czarodziejskich praktyk.

Takie trucizny roślinne jak strychnina, konina, nikotyna, atropina, brucyna, morfina; trucizny gnijącego mięsa (kadaweryna, putrescyna); trucizny specjalnych gruczołów żmij, pajaków, żab; trujące zarazki słupca (tetanus) i innych bakterij, żyjących na błotnych i leśnych roślinach, są znane „wiedunjom”, tym dziedziczkom wiedzy pogańskiej.

Wiedza trucicielska jest otoczona największą tajemnicą, którą jedna „wiedunja” pozostawia drugiej, przez nią wychowanej i nauczanej. Często się zdarza, a czasem staje się to prawie obowiązkiem, że „wiedunje” bywają glucho-nieme, czasem od urodzenia, czasem zaś sztucznie okaleczone przez „wiedunję”, która albo kradnie

gdzieś dziecko, lub bierze je na „wychowanie” z ubogiej ciemnej rodziny chłopskiej.

Trucicielki używają też dla swych praktyk siekanych włosów ludzkich, tłuczonego szkła, żółci wołowej i rybiej.

Uśmiercenie ludzi odbywa się za pomocą dodania trucizny do pokarmu, lub napoju, zatrucia noża, którym zadana bywa niby przypadkiem rana, lub też przez zatrucie podczas snu; w tym celu poduszka i posłanie albo bywa skropione jadowitym płynem, lub też trująca roślina wsuwana bywa pod poszewkę skąd, parując, zabija.

Gdy podczas pierwszej rosyjskiej rewolucji byłem skazany na 2 lata fortocy i przechodziłem syberyjskie więzienie, widziałem jedną trucicielkę, skazaną na 15 lat ciężkich robót za szereg dokonanych zbrodni. Była to już niemłoda, chuda, o czarnych włosach, ponurej twarzy i zawsze spuszczonej oczach kobieta. Miała powolne, jak gdyby leniwe, ruchy, lecz jakaś zwierzęca ostrożność dawała się odczuwać w tych żółwich krokach i poruszeniach głowy. Zrzadka podnosiła oczy, lecz wtedy uderzał mnie ciężki i nieruchomy wzrok tych czarnych źrenic, wżerających się w duszę. Nazywała się ta kobieta Irena Gulkina. Ilu konających, miotających się w śmiertelnej trwodze i bólu ludzi, których dotknęła jej straszliwa i ponura wiedza, widziały te na pozór spokojne oczy? Jakie

myśli żyły w tej głowie, tak powaźnie i powolnie ruszającej się na długiej, cienkiej szyi? Co czuło to serce zbrodniarki?

A była to przestępczyni wielkiej miary. 20 ludzi, zamordowanych przez tę „wiedunję”, wykryły sądy różnych gubernji, gdyż trucicielki nie mogą, rzecz prosta, pozostawać na jednym miejscu, przenoszą się więc gdzieindziej po dokonaniu zbrodni, opłacanej pieniędzmi, lub podarkami.

Naraz w więzieniu gruchnęła wieść, że wykryto nową zbrodnię tej kobiety. Jakiś sąd na południu Rosji dowiódł, że spadkobiercy pewnego obywatela doszli do majątku przy pomocy Gulkiniej. Otruty został właściciel i kilku bezpośrednich spadkobierców, poczem nieprawni spadkobiercy uzyskali majątek. Sprawa się rozwijała szybko, aż nareszcie przyszło pismo, żądające przesłania zbrodniarki z Syberji na południe Rosji.

Kobieta stała się jeszcze bardziej czarną, poważną i powolną. Wcale już nie podnosiła oczu i prawie nie odzywała się do nikogo.

Sąsiadki z celi więziennej rozumiały, że Gulkina przeczuwała, że będzie skazana na śmierć. Tymczasem kobieta owa całymi dniami chodziła po dziedzińcu więziennym, nisko opuściwszy głowę i uporczywie wpatrując się w ziemię.

— Śmiertelna trwoga trapi ją, — objaśniali

mnie aresztanci. — Tak zawsze bywa z temi, którzy wiedzą, że będą straceni.

Nareszcie wyznaczono dzień, w którym zamierzano wywieść ją do Rosji. W noc przed wyjazdem „wiedunja” nagle zachorowała; pokryta potem, wyla się w bólach, nareszcie zaczęła słabnąć i zemdlala. Ocucono ją, poczem usnęła. Nad rankiem dozorczyńni zauważyła, że kobieta leży w nie-naturalnej pozycji. Podeszedłszy, przekonała się, że aresztantka nie żyje.

Zbrodniarka sama wymierzyła sobie sprawiedliwą karę, za pomocą jakichś trujących traw, które znalazła, gdy wpatrzona w ziemię błąkała się po podwórku więziennym. Kilka ździebeł tej trawy znaleziono w supelku, zawiązanym na rogu chustki.

## Pogaństwo.

Pośród ludów Europy od dawna znikły namacalne ślady pogańskich kultów. Przeszły one do muzeów, w dziedzinę badań archeologicznych.

Doprawdy, czyż moglibyśmy uwierzyć, żeby gdzieś w 150—200 kilometrów od Berlina ludność składała oliary całopalne bogowi Torowi, lub żeby we Francji modlono się po nocach do dusz walecznych poległych nad Marną lub pod Verdun?

Naturalnie, że nie! Ale to stosuje się do całej Europy, z wyjątkiem Rosji. Ten kraj „niemożliwych możliwości” do naszych czasów tak w głębi mas narodowych żyjący kult bałwochwalczy, który przetrwał wieki, spokojnie żyjąc obok kościoła prawosławnego i oświaty XX wieku. Wcale nie mam tu na myśli wchodzących w skład Rosji plemion fińskich, lub mongolskich, jak Wociaki, Czuwasy, Mordwini, lub Kalmucy. Ostiacy, wśród których przechowały się pod wpływem pewnych etnograficznych i historycznych przyczyn kultury, zbliżone mniej lub więcej do pogaństwa przedhistorycznego. Mówię to o narodzie rosyjskim, który posiadał już „okno do Europy”—Petersburg, chrześcijaństwo, wieki uczonych, natchnionych poetów i policję, broniącą do niedawna praw dynastji, cywilizacji i kościoła.

Mógłbym przytoczyć cały szereg przykładów pogańskiej psychologii i obyczajów bałwochwalczych, które są znane pośród narodu rosyjskiego, lecz myślę, że najbardziej jaskrawym będzie opis tego, co widział osobiście w gub. pskowskiej, a w kilka lat później w gub. czarnomorskiej.

Pskowska gubernia była nawiedzana przez silne ulewy. Olbrzymie obszary łąk i pól zamieniły się w jeziora, które zlały się z licznymi tu bagnami i stawami. Rzeki wyszły z brzegów i zalały drogi. Wieś została odcięta od świata ze-

wewnętrznego. Zboże i trawa były zniszczone do szczętu. Chłopom grozić zaczęło widmo głodu.

Nabożeństwa, odprawiane po siolach, nie pomagały. Deszcz lał dzień po dniu. Śród starców poszła gadka, że „dawni bogowie” gniewają się na lud, który się od nich odwrócił, i że przyszła chwila konieczna dla ich przebłagania. Po chatach zjawiano się tajemniczo. Chłopi, widocznie, do czegoś się przygotowywali.

Było to na początku sierpnia, czy w końcu lipca.

Pewnego wieczora tłumy starszych chłopów i kobiet pociągnęły brzegiem bagnistej rzeki, dążąc w stronę lasu, rosnącego na niewysokich pagórkach. Byłem z nimi, skorzystawszy z zaproszenia mego gospodarza, starego wójta wsi Płochowej.

Ulewa nie ustawała. Zdawało się, że potoki ciepłej wody leją się z obłoków, które nisko i leniwie pełzły tuż ponad ziemią. Doszliśmy nareszcie do celu, przemoknięci do nitki.

Jakiś bardzo stary chłop, ubrany w białe płócienne spodnie i takąż koszulę, był już na wyznaczonym miejscu. A miejsce to było bardzo niezwykłe. Na małej polanie, otoczonej wysokimi sosnami, stał olbrzymi pień dawno zgniłego drzewa, obok którego leżał omszały, zczerniały głaz. Mój gospodarz objaśnił mi, że to pień „drzewa boga Peruna”, a głaz służył za ołtarz, gdzie niegdyś palo-

no ofiary na cześć tego straszliwego boga Słowian.

Była noc czarna i beznadziejna. Słyszałem tylko plusk padającego deszczu, chlupanie nóg, z trudem wyciąganych z rozmięklej, śliskiej ziemi, oraz ciche szepty kilkunastu ludzi, zebranych koło ołtarza Peruna.

— Zapalcie ogień! — rozkazał starzec, i natychmiast w różnych miejscach zabłysła, dymiąc, zapalona sucha kora brzoza. Po kilku minutach rozdmuchano dwa duże ogniska, które nie dały się odrazu zalać deszczowi. Wtedy starzec wyjął z zawiniątka, leżącego obok głazu, czarnego koguta i, umieściwszy go na ołtarzu, przerznął mu gardło, a krwią zboczył kamień, wołając:

— Dawni bogowie: Perun, Wołos, Daždź-bóg! — Pomóżcie ludziom swoim, uciszcie ulewę, rozkażcie wodom powrócić w ich łóżyska! Modlimy się do was, was na pomoc przyzywajcie!

Chłopi i kobiety zaczęły się przysuwać do starca tak samo jak czynili to, być może, wczoraj, podchodząc pod błogosławieństwo popa z krzyżem, a starzec maczał ręce we krwi i znaczył nią głowy tych bałwochwalców XX-go wieku.

Tak było w pskowskiej gubernji; to samo powtórzyło się później w mojej obecności w gub. czarnomorskiej.

Nad Wolgą i Kamą do dnia dzisiejszego w domach miejscowych chłopów, przeważnie Mor-

dwinów i Czuwaszów, widzieć można drewniane i gliniane figurki bogów pogańskich, stojące obok świętych obrazów i krucyfiksów w tak zw. „czerwonym kącie”, t. j. w rogu naprzeciwko drzwi wchodowych.

Prawda, że ci chłopi chociaż często zwracają się o pomoc do „dawnych bogów” i znoszą im skromne ofiary, — lecz gdy ci zawiodą ich oczekiwania, nielitościwie smarują ich oblicza różnymi brudami lub zawzięcie biją figurki batami.

Zmieniły się czasy, zmieniła się psychologia kultu.

W ten sposób pogaństwo i jego duch przetrwały długi okres czasu, w którym ludzkość dążyła do doskonałości i cywilizacji. Szczególnie to daje się zauważyć w formie wiary w wiedźmy czyli czarownice, poślubione djabłu.

## Wiedźmy.

Wiedźmy stanowią osobną kastę, bardzo liczną i przechowującą się w wielkiej tajemnicy. Wiedźmę wychowuje inna wiedźma od lat niemowlęcych. Pierwszym warunkiem dla wiedźmy — nowicjuszek — jest to, aby nie była chrzczona. Zwykle nowonarodzoną dziewczynę stara wiedźma za-

biera do swego schroniska, do jakiejś półrozwalonej chaty, lub jaskini w lesie i wychowuje, chroniąc ją od stosunków ze zwykłymi ludźmi, nie puszczając jej na wieś i nie pozwalając nikomu widywać jej. Podczas tego samotnego życia przyszła wiedźma uczy się rozmaitych magicznych formuł, zaklęć, wróżb, działania ziół i traw, podtrzymywana przez swoją mentorkę, w stanie stałego podniecenia, mistycznego strachu i zdenerwowania. Wszystko to najczęściej doprowadza do rastającej dziewczyny do stanu ostrej neurastenji, lub nawet epilepsji.

Gdy dziewczynka dojdzie do lat 15, wiedźma „poślubia ją diabłu”. Młodą wiedźmę ubierają wtedy w białe płócienne szaty, upiększają wieńcami z wodnych lilji, na czole umieszczają magiczne znaki Belzebuba i w znanym tylko starej wiedźmie miejscu, gdzieś w oczeretach nad ustronem jeziora, w kniei leśnej, lub wśród gołych głazów, pozostawiają związaną i otoczoną wianem. To wiano, czyli posag, składa się ze złamanego krzyża, dzbanka z krwią czarnego kozła lub jagnięcia, ze skóry powieszonego czarnego kota oraz butelki wódki.

Młoda wiedźma przerażona, oczekująca co chwila zjawienia się oblubieńca diabła, krzyczy, lka, aż nareszcie wpada w półoblakania, lub w ciężkie zemdlenie, często przechodzące w ostry

atak epileptyczny. Nad rankiem o świcie, przychodzi stara wiedźma, rozwiązuje nieszczęsną, cuci ją wlewając jej wódkę do ust i pozdrawia magiczną formułą, równie starą, z pewnością, jak świat słowiański. Od tego dnia dziewczyna staje się wiedźmą i zaczyna własne praktyki. Stara już się nie obawia, że dziewczyna ucieknie, gdyż wie o tem, iż pozostała ona poślubiona diabłu, doszła do wsi i tu, gdyby się młoda wiedźma odważyła zjawić, oczekuje ją niechybna śmierć z rąk przesądnych wieśniaczek.

Od tego dnia zaślubin wiedźma zaczyna uczyć się... latać.

Sądowa medycyna, historia kultów oraz niektóre badania ojców kościoła chrześcijańskiego i wielkiego Leonardo da-Vinci rzucają światło na tę kwestję.

Rzecz się ma tak. Wiedźma przyrządza specjalną maść, mieszając tłuszcz z jakimiś trawami, smaruje nią swe ciało na noc, bardzo szybko zasypia, a podczas snu ma znane wrażenia latania. O swych snach bardzo żywo i porywająco opowiada, zachwycona i podniecona temi niezwykle przeżyciami i wrażeniami, utwierdzając swoją sławę „latającej wiedźmy”, — latającej na miotle, lub zydłu.

Sława takiej wiedźmy sięgała daleko, chociaż bywała starannie ukrywana w obawie przed popem

i policja. Wiedźma leczy przeważnie kobiety oraz pomaga w sprawach miłosnych, dając środki na przywiązanie do siebie kochanka, na wynalezienie narzeczonego, na oswobodzenie się od nienawistnego, pijanego, brutalnego męża. Prawda, że te czarowne środki nieraz figurują potem na stole sądu, gdzie na ławie oskarżonych zasiada klientka wiedźmy. Wiedźma wróży, wywołuje duszę wskazanego człowieka podczas jego snu, robi przepowiednie, fabrykuje amulety, „lubczyki”, naucza, w jaki sposób wyrażając swoją własną wolę, można doprowadzić innego człowieka do naturalnej, lecz przyspieszonej śmierci.

Wiedźma zawsze zna się na hypnetyzmie, a żyjąc w otoczeniu natury, w stałej trwodze przed władzami, popami i tłumem, jest spostrzegawczą i podejrzliwą, staje się doskonałym psychologiem, lecz wszystkie te naturalne objawy ukrywa pod maską czarownych zaklęć, magicznych formułek, demonologii, czarownictwa i innych „czarnych nauk”.

Tylko bardzo ciężkie warunki istnienia zmuszają wiedźmy do opuszczenia swoich schronisk i nawiedzenia wsi, aby nabyć coś z ubrania, lub jedzenia. Przekrada się zwykle do znanej sobie klientki w nocy i prosi ją o załatwienie sprawunków. Samej wiedźmie nie wolno zjawić się na ulicy. Jeżeli jej odrazu nie schwyci policja, lub

pop, to biada jej—dostanie się bowiem w ręce rozwścieczonych chłopów. Każda z nich, w razie potrzeby zwraca się do wiedźmy, niosąc jej upominki, lub pieniądze, lecz każda z nich też wie, że wszelkie nieszczęścia, spadające na mieszkanców wsi, są wynikiem przekleństwa wiedźmy. Toteż gdy wieśniaczki zobaczą biedną, samotną wiedźmę na ulicy, zaraz wypadną tłumnie, otoczą i zaczynają bić, bić po kobiecemu, stopniowo nielitościwie, męcząc i znęcając się. Wyrwane włosy, wydrapane oczy, wybite zęby, przetrącone kości — to jeszcze nic. Najczęściej kobiety rozszarpują wiedźmę, a kawałki jej ciała palą na popiół, i rozwiewają go „na suche lasy, na puste pola”.

Nieraz zaciągają ją na brzeg rzeki lub stawu uwiążą kamień do szyi i utopia...

To jest wiedźma i takim jest los „oblubienicy diabła”.

## Echa dalekiej przeszłości.

W Rosji wszędzie i zawsze styka się—Zachód Wschód: cywilizacja i pierwotny koczownik, kościół i „dawni bogowie”, romantyzm i zbrodnia.

Naprzykład takie zestawienie. We wsi zakładają filję uniwersytetu ludowego i miejscowe władze wyprzedzają się w elokwencji przed prawie

Cień ponurego wschodu.

pustym audytorjum w szkole. Gdzież są chłopcy, dla których przecież, otworzył swe podwoje uniwersytet ludowy, aby siać kulturę? Wszyscy są na lodzie zamarznętej rzeki, gdzie się odbywa tradycyjny „kułacznyj bój”, to znaczy walka na pięści.

Dwie wsie współzawodniczą ze sobą w sile pięści i w wytrzymałości czerepów, szczęk i zębów. Tradycja, rycerska zabawa, romantyzm średniowieczny.

Widziałem taki bój w Tomsku na Syberji.

Współzawodnicy dzielą się na dwie równej liczby strony. Walkę rozpoczynają mali chłopcy, nielitościwie rozbijając sobie nosy. Gdy do walki idą zastępy wyrostków, chłopcy rozpraszają się jak wróble to samo czyni młodzież, gdy rozpoczyna się decydujący moment walki, w której biorą udział dorośli.

Walka trwa długo, odznacza się zaciętością i nieraz bywa zakończona nie tylko kalectwem, lecz nawet śmiercią, gdyż zdarza się, że jakiś chłop, zacisnąwszy w olbrzymiej pięści kawał ołowiu, lub żelaza, rozbije czaszkę przeciwnikowi.

Te walki na lodzie—dają możność przejawiać się naturalnym zdolnościom niektórych zapaśników, niepospolitej sile pięści, odwadze, wytrzymałości oraz strategicznym nawet talentom, gdyż zwycięstwo powinno być odniesione na całym froncie jednej z partyi.

Przypomnijmy sobie historję sił Przecież za czasów istnienia do czasów cara Iwana IV Groźnego, wolnych miast Nowogrodu i Pskowa, ludność tych miast wszelkie spory polityczne rozstrzygała walką na pięści, staczaną pomiędzy stronnictwami tej lub owej partji.

To pozostało w małym zakresie do naszych czasów.

Te walki nie zawsze jednak są romantycznym wspomnieniem dawnych wieków. Nieraz są one walką o byt.

Tatarzy i Rosjanie, dawni mieszkańcy oraz przysłani przez rząd na syberję, nowi koloniści prawosławni, lub sekciarze, gromadną siłą pięści załatwiają swoje spory osobiste, plemienne i religijne.

Inną pozostałością dawnych czasów, nawet ściślej mówiąc czasów koczownictwa, jest t. zw. „jamszczyna”. Jest to duża organizacja bardzo wolnościowo nastrojonych chłopów pochodzenia syberyjskiego, którzy tworzą w zimie olbrzymie karawany sanek, zaprzężonych w trzy, lub w dwa konie i przewożą ciężary na dalekie przestrzenie, liczące tysiące kilometrów. Przed 20 laty takie karawany szły od Kiachty, leżącej na granicy Mongolskiej, do Kazania lub Moskwy, obecnie kursują na krótszym dystansie—od granicy mongolskiej

do większych stacyj kolei syberyjskiej, lub z Altaju do drogi żelaznej.

„Jamszczyna” obecnie znika, lecz przed kilku laty jeszcze była żywotną organizacją, mającą własne niepisane prawo obyczajowe. Najbardziej silni, zdrowi i wytrzymali chłopci oddawali się tej pracy. Bo też i nie łatwa to była rzecz. Wieźć ciężki ładunek drogich towarów: herbaty, futra, porcelany, jedwabiu z Chin do Moskwy, podczas długiej surowej zimy syberyjskiej, narażając się na mróz, głód, wichry i znużenie, broniąc swych ładunków i koni, gdyż całe bandy uciekinierów z syberyjskich więzień kryminalnych czatowały na te karawany („obozy” po rosyjsku) kradły z sanek pudła z herbatą, lub jedwabiem, albo też нападаły na furmanów czyli „jamszczyków”. Z tych syberyjskich chłopów—furmanów wyszli dzielni, bogaci przedsiębiorcy, jak na przykład Kuchtierinowie, Koroliewowie i inni, którzy założyli po budowie syberyjskiej kolei największe firmy transportowe, kupując na swój użytek statki parowe, berlinki, samochody.

Silne, twarde charaktery dała „jamszczyna”, ale też nauczyła ona półdzikiego chłopca sądu do rażnego, oraz zupełnej obojętności dla życia ludzkiego.

Na Syberji, w Tomsku pozostał jeszcze przy życiu jeden z ostatnich „jamszczyków”, który pa-

mięta te wolne czasy, ten epos bohaterski, tęwa i kę o byt i pieniądź w zmroku mroźnej, śnieżnej pustyni syberyjskiej.

Jest nim Inocenty Kuchtierin.

Kiedyś w nielicznym gronie znajomych opowiadał:

— Miałem wtedy swoich 300 sanek. Każdy zaprzęg w 3 konie. „Jamszczyki” — chłopcy na schwał. Nigdy nie brałem takiego, który nie mógłby zarzucić sobie na plecy worka wagi 400 funtów i przejść z nim kilometra. To była moja próba. Miałem „jamszczyków”, którzy nosili po 1000 funtów. Teraz już takich niema! Jechaliśmy z ładunkiem herbaty z Kiachty do Kazania. Zima była surowa. Mróz do 40° R. trzymał cały miesiąc. Konie i ludzie w swych kozuchach, futrem wywrotzonych nazewnątrz, szli jak białe widma. Transport miałem terminowy. Szliśmy dzień i noc, rzadko zatrzymując się po wsiach na dłuższy odpas.

— Około Kańska przechodziliśmy traktem pomiędzy dwoma ścianami dziewiczej puszczy. Drzewa, białe od śniegu, skrzyły się w promieniach księżyca. Cała droga była osiana brylantami, które zapalały się różnobarwnymi ognikami. Nad naszym obozem podnosiły się kłęby pary, bo konie i ludzie byli już zmęczeni. Nagle przez parę, która ciągle powoli opadała, ujrzałem na śniegu, z bo-

ków drogi, coś podejrzanego. Właściwie nie ujrzałem, a raczej wyczulem. Cicho było wszędzie, tylko konie głośno dyszały i parskaly. „Jamszczyki” szli obok sanek, dla rozgrzania się, wymachując rękami, lub biegnąc.

— Wszystko zdawało się być w porządku, lecz niemożem oderwać oczu od kilkudziesięciu dużych plam na śniegu. Były one białe, może ciemniejsze, może bielsze od śniegu, lecz przykuły do siebie mój wzrok.

— Nareszcie zawołałem dwóch najbliższych chłopów i poszedłem przyjrzec się. Zaledwie zdążyliśmy zejść z drogi, gdy te plamy gwałtownie poruszyły się.

— Zrozumiałem, że to napad bandycki.

— Bandyci i uciekinierzy z więzień (i Sachalinu, tak zwana u nas na Syberji „szpana”, czuli się przy drodze ubrani w białe płaszcze, narzucone z góry na korzuchy. Gdybyśmy spali bezpiecznie na sankach, bandyci niepostrzeżenie podkraśliby się do nas, poucinali sznury, związujące ładunek sanek, wskutek czego pudła z herbatą (i zw. „cybiki”) zaczęłyby pomału bez hałasu spadać w głęboki śnieg. Połapałibyśmy się dopiero na popasie, i już po niewczasie, gdyż „szpana” zdążyłaby pozbierać nasze dobro i ukryć je.

— Lecz widząc, że zostali wykryci, rozpoczęli atak. Dano do nas kilka strzałów. Dwóch

moich chłopów padło, trafieni kulami w głowę pięciu odniosło rany. Reszta zaś wraz ze mną rzuciła się na przeciwników. „Jamszczyk” zawsze ma broń. Jest nią albo długi nóż za cholewą „pi-ma”, czyli buta z wojłoku, albo też mocny ramię z uwiązaną do niego ciężką kulą żelazną.

Kuchtierin odetchnął głęboko i zakończył swoje opowiadanie.

— W tę mroźną noc zabiliśmy dwudziestu trzech ze „szpany”, a złapanych przywódców bandy, Wan-ke Chromego i Kuźmę Bezrodnego, powiesiliśmy na przydrożnych sosnach. Śladami „szpany”, która uciekła, dotarliśmy do wsi Kudziejarowej i tu pohasaliśmy. Drogo zapłacili nam chłopci tej wsi złodziejskiej za przytułek dany „szpanie”, które ośmiela się napadać na jamszczyków. Trzy dni tam bawiliśmy po naszymu. Pewno wnuki tych chłopów pamiętają nas!

Takim był ten dawny „jamszczyk” Kuchtierin, a tymczasem to surowe życie wyrobiło w nim jakiś dziki, żywiołowy romantyzm. Miłował naturę i znał ją jak sto razy czytana książkę. Znał głosy i zwyczaje każdego zwierza i każdego ptaka. Imitował zdumiewająco śpiew słowika i gila, beczenie jelenia, ryk rozwścieczonego niedźwiedzia i wycie zgrai wilków. Podczas jednej ze swych włóczęg, będąc jeszcze zwykłym „jamszczykiem” posiadającym jeden zaprząg, gdzieś w zajeździe

małego miasteczka poznał żonę właściciela i rozkochał się na śmierć. Skrzętnie gromadząc pieniądze i pracując jak niewolnik, zebrał znaczną sumę i kupił od męża tę kobietę. Była to iście rosyjska piękność. Gdy z „jamszczyka“ Kuchterin wyszedł na „radcę handlowego“ i burmistrza tomskiego, ubierał żonę w suknie sprowadzone z Paryża, otaczał niebywałym przepychem i kochał, jak kochali niegdyś tylko dzicy koczownicy. Po pijanemu bił ją bezlitośnie szalejąc z zazdrości, a później tarzał się u jej stóp, błagając o przebaczenie, o miłość, o szczęście...

Biografia słynnych „jamszczyków“ jest przeto równie romantyczna, jak ponura, dzika i krwawa. Dużo o niej opowiadają sybiracy często z zachwytem, często ze zgrozą.

„Jamszczyki“ nieraz grabili bogatych podróżników, spotykanych w drodze, napadali na pocztę, na wiozących rządowe pieniądze urzędników, na wsie i sioła, pozostawiając po sobie trupy i ślady krwi i rabunku. Na tym procederze wielu „jamszczyków“ z bogaciło się nadzwyczajnie, doszli do honorów i szacunku powszechnego, zamykając usta sędziów garściami złota i wspaniałymi ucztami. Nikt się już nie wzdrygał na widok tych ludzi i nikt ich nie omijał. Przecież sami ryzykując życiem, doszli do bogactwa i zaszczytów.

Więc o cóż można posądzać tych bohaterów z nieskończenie długiego traktu syberyjskiego.

## „Śmiały przemysł“.

W tym samym rodzaju jest inna znowu profesja „wolna“, do dnia dzisiejszego uprawiana na „Dalekim Wschodzie“ Rosji. W dawniejszych czasach, a mianowicie przed 20—25 laty profesją tą zajmowało się bardzo wielu z tych ludzi, którzy sami, albo ich synowie obecnie należą do bogatych klas miast Dalekiego Wschodu.

Wczesną wiosną z Korei i Chin ciągną do kraju usuryjskiego i amurskiego liczne zastępy Korejczyków i Chińczyków. Są to najbiedniejsi, zdeklasowani całkowicie mieszkańcy kraju „Smutnego Zmroku“ (Korea) oraz „Państwa Nieba“ (Chiny). Część tych przybyszów wstępuje w poczet robotników w miejscowych kopalniach złota lub węgla,—część pracuje w portach Władywostoku i Mokołajewska nad Amurem część znowu idzie na roboty do chłopów i kozaków usuryjskich i amurskich. Lecz pewna ilość najbardziej przedsiębiorczych i energicznych ludzi w dziewiczej puszczy, gdzie wszechwładnie panuje tygrys amurski, w nieznanych łożyskach górskich rzeczek i potoków wyszukuje złoto, drogie i półdrogie kamienie, lub bląka się po szczytach gór Sichota Alin, znajdując drogocenny, cudowny, leczniczy ko-

rzeń, — dzień-szeng, ceniony na wagę złota. Czasami udaje się takim przedsiębiorczym przybyszom złapać w sidła kilka pięknych, prawie czarnych soboli, kun, lub nawet bobrów, które w bagnistych składkach górskich mają jeszcze swoje kolonje. W tak ciężkiej pracy, w ciągłej obawie o życie, któremu co chwila grozi albo zdziczały uciekający z ciężkich robót przestępca kryminalny z Sachalinu, lub władca puszczy tygrys, bardzo gustujący w mięsie żółtego człowieka, pędzi swój żywot Chińczyk, lub Koreańczyk.

Upływa lato i połowa jesieni. W listopadzie żółci przybysze zaczynają powracać do domu. Drogi ich są znane tak samo, jak drogi odlatujących na zimę łabędzi i gęsi. To też wszystkie ścieżki, któremi dążą ze swoją zdobyczą przybysze, są obsadzone przez Rosjan. Przybysze idą zwykle odziani w białe ubrania, bo to jest zwyczajny kolor dla Koreańczyków, ale też i dlatego, że na śniegu trudniej napastnikowi dojrzeć postać swojej ofiary. Rosjanie idą na „śmiały przemysł“ lub na polowanie na „białe łabędzie“ z karabinami. Kula powala żółtego włóczęgę, a Rosjanin zabiera cały jego dobytek i uchodzi bezkarnie, pozostawiając ciało człowieka na pastwę zwierza, nie myśląc bynajmniej o tem, że na tego zabitego, przez długie lata napróżno będzie czekała cała rodzina, której życie i los zależy od tego, ile zdobyczy przy-

niesie ten odważny poszukiwacz złota i dzień-szengu z tajemniczej i niebezpiecznej puszczy (tajgi) usuryjskiej.

Cały szereg ludzi na dalekim wschodzie wzbogacił się w ten sposób. Obecnie zaś polowaniem na „białe łabędzie“ trudnią się przeważnie chłopci ze wsi Kamień.—Rybolów na jeziorze Chan-ka, gdzie krzyżują się szlaki żółtych śmialków, idących zwykle z biegiem rzeki z Sungacza do granicy Mandżurji. Obok chłopów tę bezkarną zbrodnię uprawiają, jako profesję, kozacy.

## Władcy morza.

Obok tego objawu życia wschodnich kresów rosyjskich istnieje jeszcze inny bardziej, ponury, tchnący dzikim romantyzmem. Jest to morski bandytyzm. Przed 35 laty ten proceder był uprawiany przez kilku cudzoziemców i Rosjan, którzy później stali się najbogatszymi kupcami oraz właścicielami olbrzymich terenów w obrębie miast.

Obecnie znikli z horyzontu, po części wyjechałszy zagranicę, poczęści zmarli. Byli to ludzie obeznani z morzem. Zbudowali sobie kilka żaglowych statków, bardzo mocnych i zwinnych, wynajęli załogę z przeróżnych, występnych ele-

mentów, które się zbierały w portach, i rozpoczynały akcję. Polegała ona na tropieniu na morzu Żółtem, Japońskim, oraz otwartym Pacyfiku żaglowców japońskich, amerykańskich i chińskich, w napadach na nie i w rabunku, po którym ludzi zabijano, a statki topiono. Zdobyty łup stanowił towar, który później sprzedawano w sklepikach portowych. Na tem robiono ogromne interesy, które były podwalinami przyszłych majątków, honorów i stanowiska społecznego. O wyprawach tych piratów na Dalekim Wschodzie do tego czasu przechowywały się legendy. Była to międzynarodowa banda prawdziwych „konkwistadorów“, złożona z Rosjan, Finlandczyka, Holendra, Szweda i Niemców.

Na całym wybrzeżu Pacyfiku znane były żaglowce tych strasznych, morskich bandytów, którzy napadali na napotkane na Oceanie statki cudzoziemców oraz na osady rosyjskich kolonistów, położone w pobliżu morskiego wybrzeża.

Wyspy komandorskie, gdzie pozostały liczne stada fok, nad którymi była rozpostarta opieka rządu petersburskiego, nieraz były widownią zbrojnych utarczek piratów z nieliczną garstką żołnierzy, ochraniających drogocenne foki. Piraci zwykle zwyciężali i bez litości tępiłi setki tych rzadkich już zwierząt, sprzedając ich skórki do Ameryki lub Niemiec.

Na morzu Ochockiem i Berynga banda ta

napadała znieścacka zabijała i rabowała nielegalnych kolonistów z Japonji i Alaski, którzy prowadzili handel zamienny z tubylcami Kamczatki, Anadyra i półwyspu Czukotskiego.

Wody tych mórz skryły na zawsze ofiary ponurych dramatów, których głównymi aktorami byli członkowie tego rozbójniczego stowarzyszenia. Po zabiciu cudzoziemców, piraci zwykle robili wycieczkę w głąb kraju i odbierali od koczowników Mongołów złoto, futra, drogie kamienie i wszystko co miało znaczną wartość.

W małej zatoce na północ od Władywostoku bandyci mieli swoją główną kwaterę, gdzie się dzielono zdobyczą, przepakowywano ją i wywożono do Władywostoku, dla sprzedaży na cudzoziemskie przeważnie niemieckie okręty, które utrzymywały z piratami stałe stosunki handlowe.

Administracja rosyjska w porcie Władywostockim wiedziała o działalności tej bandy, lecz bandyci nie byli skąpi i płacili policji znaczny procent od swych zysków.

Wszyscy o tem wiedzieli, a więc do Petersburga posyłano raporty i denuncjacje, po których wyżsi urzędnicy byli usuwani ze swych stanowisk, lecz nie porzucali miasta, gdzie wkrótce nabywali sobie tereny, domy i majątki i prowadzili życie szerokie i wesołe.

Władywostok był bardzo dogodnym miastem dla średniowiecznej imprezy piratów.

Było to kresowe miasto o charakterze wojennym, miasto wysunięte przeciwko Japonji i stopniowo fortyfikujące się. Przed 30—35 laty podróż z Moskwy do Władywostoku trwała 3 miesiące, była to głucha i beznadziejna dziura. To też na oficerskie i urzędnicze stanowiska jechali tu ludzie o bardzo ciemnej przeszłości, o charakterze przedsiębiorczym, ale najczęściej występny.

Ohydne było życie we Władywostoku lecz doprawdy najgorszą i najbardziej ponurą ilustracją jego było „Stowarzyszenie Łancepupów”. Pocho-dzenia słowa „łancepup” nie znam, ale treść stowarzyszenia i jego program znam dokładnie.

Było to, mówiąc ściśle, stowarzyszenie najbardziej beznadziejnych pijaków. Był to klub zamknięty, liczący tylko 50 członków. Pito tu ho-merycznie. Pito wyłącznie albo czysty alkohol albo najmocniejszy arak, pito te trunki dużemi szklankami od herbaty. Pito na komendę, którą wydawał budzik nakręcany co pięć minut przez Chińczyka boy’a.

Trunek przekąsywano suchym chlebem.

Czasem pito przy każdym szczekaniu psa, przy każdym turkocie przejeżdżającego powozu, przy każdym odgłosie, który dochodził z ulicy, a że klub mieścił się na jedynej w mieście ulicy

„Swietlance” o powody nie było trudno. Ludzie się spijali szybko, dochodząc do szaleństwa, delirium tremens, samobójstwa, rozbestwienia kompletnego.

Pod wpływem alkoholu członkowie „klubu łancepupów” zrobili szalony wynalazek. Była to „gra w tygrysa”. Wszyscy obecni członkowie usadowiali się na drabinach, lub szafach, stojących w sali, pozostawiając tylko dwóch „graczy”. Jeden miał w ręku nabity rewolwer i odgrywał rolę myśliwego, drugi — dzwonek i był „tygrysem”.

Gdy wszystko było przygotowane, gaszono światło i w sali zapadała ciemność zupełna, gdyż okna były szczelnie zasłonięte czarnymi grubemi firankami.

Na komendę: „Zaczynaj” — gracze rozchodzili się w różne strony. Po chwili rozlegało się ciche dzwonienie i szmer kroków biegnącego lub skaczącego człowieka. Tym dźwiękom odpowiadał strzał z rewolweru.

To „myśliwy” strzelał do „tygrysa”.

Czasem, a było to bardzo często, wystrzałowi wtórował jęk ranionego człowieka, lub głuchy łoskot padającego ciała.

„Zapalić światło” — rozlegała się komenda.

Wnoszono lampy i badano teren polowania. Ranionego odwozono do szpitala, zabitego wyrzucano na brzeg morza. Jeśli zaś „myśliwy” chybił,

wtedy „tygrys“ zmieniał się w „myśliwego“ i gra trwała dalej. . .

Na takim to ponurem tle rozwijała swoją krwawą robotę banda piratów, którzy w krótkim czasie stali się „władcami morza“.

Gdy na Dalekim Wschodzie wprowadzono zreformowany sąd, gdy przyszli tam nowi, prawdziwi kulturalni prokuratorzy i sędziowie śledczy, ni chwilę niebezpieczeństwo odpowiedzialności zawisło przed „władcami morza“, którzy wtedy już od dawna porzucili swój zawód i stali się bardzo czynnymi obywatelami różnych miast kresowych.

Pierwszy prokurator sądu we Władywostoku, Buszajew rozpoczął dochodzenie w sprawie bandytów morskich. Wszystkie dowody ich licznych zbrodni posiadał już w swych rękach, już pisał akt oskarżający ich i pociągający do sądowej odpowiedzialności. Głuche pogłoski o tem krążyć zaczęły po Władywostoku i innych miastach. Pewnego dnia prokurator, który był namiętym myśliwym, został zaproszony przez towarzystwo i sportowe na polowanie na jelenie. Odbyło się ono na wyspie Askold, położonej o 45 kilom. od Władywostoku w zatoce „Piotra Wielkiego“.

Polowanie udało się świetnie, gdyż zabito 2 jelenie. Już się rozległa trąbka zwołujące myśliwych na statek, lecz gdy wszyscy się zebrali na

pokładzie, brakowało tylko prokuratora. Znaleziono go z kulą w czole. Został zabity a „władcy morza“ pozostali bezkarni.

## W mroku pałaców.

Zajrzyjmy teraz po zwiedzeniu kresów, półdzikich wsi i siół rosyjskich do wspaniałych, częstokroć historycznych pałaców.

Pałac Carskosielski, gdzie przebywała chora carowa Aleksandra Heska, pałace księżniczki Jurjewskiej, hrabiów Sumarokowych—Elstonów, książąt Orłowych, hrabiny Ignatjewej, hrabiny Kleinmichel, książąt Golicynych, księcia Putiatina, książąt Biełosielskich—Biełozierskich, nawet pałace niektórych wielkich książąt kryły poza swymi grubymi murami i wspaniałymi kryształowymi oknami dużo ciekawych i niezupełnie zwykłych wypadków.

Tłumy nikomu nieznanym osobnikom, często o kryminalnej przeszłości miały tam wolny wstęp. Włóczędzy—mnisi i mniszki z dalekich klasztorów przynosili do pokazania i modłów jakieś cudowne relikwie, w rodzaju „kawalka drabiny“, którą Jakób we śnie widział, jak twierdzi anegdota z czasów Pawła I, lub „nogę świętych męczenników Borysa i Gleba“; opowiadali o cudach, które miały miejsce

Gień ponurego wschodu.

na grobach różnych niekanonizowanych świętych odprawiali nabożeństwa podług nieznanego rytuału, być może, nigdy nie istniejących klasztorów i świątyń. Epileptycy i histeryczki, którzy podczas ataku swej choroby wygłaszali przepowiednie i dawali polityczne przestrogi, jak czyniła to znakomita „klikusza<sup>1)</sup>” Darjuszka, która z ramienia Rasputina, księcia Putiatina i komendanta cesarskiej kwatery generała Wojejkowa przestrzegała carową przed ministrem oświaty, hrabią Ignatjewym, przeciwnikiem polityki niemieckiej i przeciwko słynnej damie dworskiej pani Wasilczykowej, autorce znanego listu do carowej, przypominającego księżniczkę heskiej, iż jest ona... carową Rosji.

Opasły, siwobrody, łysy mnich, „Iwanuszka bosy” o czerwonych nogach, których palce były zawsze starannie odrobione przez „pedikurzystę”, dziwił i szykanował inteligentną publiczność Piotrogradu, gdy go widziano bosego w czarnej sutannie, z pastorałem, ozdobionym złotą gałką z drogimi kamieniami, gdy wolno i majestatycznie kroczącego Newskim Prospektem, o głowę przewyższającego tłum i dziwiącego wszystkich szerokimi barami atlety i szyją byka.

Lecz gdy gruchnęła wieść, że Iwanuszka jest częstym gościem carowej, i że jest bardzo bliski

<sup>1)</sup> Epileptyczka.

domu hrabiny Kleinmichel, gdzie się odbywają jakieś tajemnicze nabożeństwa nocne, podczas, których „zjawia się Chrystus”—prawdziwe oburzenie zapanowało w stolicy, a opasły mnich był zmuszony opuścić gościnne dla niego brzegi Newy.

W Piotrogradzie w r. 1910 zjawiała się na przedmieściu stolicy jakaś stara rozpustna kobieta, która za pomocą bardzo zręcznie zorganizowanej reklamy, ogłosiła się jako „wcielona bogarodzica”, która ma męża Józefa i syna—Jezusa. Tłumy ludzi garnęły się do „bogarodzicy”, a ta leczyła i pocieszała chorych i strapionych, albo wodą newską, albo też dotknięciem dłoni. Ludzie całowali jej nogi i ubranie, składali hojne ofiary, a „bogarodzica” skrzętnie ciułała grosz, nabywając gdzieś na prowincji domy i ziemię.

Kler i pewna część prasy rozpoczęła kampanię przeciwko tej „Madonnie”, lecz naraz wszystko umilkło. Policja, cenzura i najświętobliwszy Synod oznajmili najbardziej gorliwym popom, oraz redaktorom dzienników, że atak na „bogarodzicę” jest niestosowny, ponieważ ta... była zaszczycona audjencją u cesarzowej w czyjś prywatnem mieszkaniu.

Kilka lat potem panowała „Madonna” bezkarne aż w jej mieszkaniu kogoś okradziono. Śleztwo wykryło, że „błogosławiąca” dłoń „bogarodzicy” brała w tem czynny udział wraz z mężem

„starcem Józefem“. Do sądu sprawy nie dopuszczono, lecz ta religijna spekulanka zmuszona była zniknąć z horyzontu.

Nadzwyczaj pouczający przykład przedstawiał proboszcz katedry prawosławnej w Kronsztacie. Iwan, syn Sergjusza Iljin, znany jako „Iwan Kronsztackij“. Spotykałem go parę razy.

Był to bardzo sprytny, nerwowy, wrażliwy pop, który umiał porywać tłumy twą modlitwą i kazaniami, działać słowem i wejrzeniem na ludzi zwracających się do niego po radę, wprost hypnotyzować, sugestjonować i poddawać swej woli poszczególne jednostki i całe tłumy.

Gdyby się nic nie stało, pozostałby sobie dobrym „duchownym ojcem“ i gorliwym popem. Lecz zobaczyła go stara dewotka, bogata kupcowa Gulajewa, zaprzyjaźniona z Pobiedonoscewym i z kilku urzędnikami dworu cesarskiego.

Zobaczywszy, potrafiła zainteresować osobą młodego natenczas popa możnych arystokratów z kamarylli dworskiej i wreszcie zaproponowała „Iwanowi Kronsztackiemu“ aferę. Gulajewa miała zostać „impersario“, Iwan — bezwiednym, może, aktorem, który miał wykorzystać i eksploatować swoje zdolności, jako kapłan i kaznodzieja, ona — wykorzystać i wyeksploatować publiczność.

Przedsiębiorstwo rozpoczęło się i szło bardzo pomyślnie. Po roku już zaczęto dużo mówić

o „cudownych uzdrowieniach“, jasnowidzeniach, przepowiedniach i „wskrzeszeniach“ umarłych przez Iwana Kronsztackiego.

Pieniądze, zaszczyty, stosunki i wpływy stały się codziennym zjawiskiem. Powstawały wspaniałe świątynie, szkoły i szpitale, ale także zjawiały się własne domy, majątki i okazały rachunek w bankach

— Iwan—święty! Iwan—prorok Boży! — mówiono głośno.

To się nie podobało klerowi, lecz car Aleksander III czcił Iwana Kronsztackiego, a gdy umierał, jego tylko zawezwał do swego łóża i po błogosławieństwie ręce mu całował w pobożnej ekstazie.

Po śmierci cara Aleksandra III, „impersario“ Gulajewa chciała dobić interes do końca i ogłosiła przez tajnych pomocników afery, że Iwan jest „Mesjaszem“, powtórnie zjawiającym się na ziemi.

Tego było już za wiele! Kler i nawet oberprokurator Synodu wystąpili przeciw takiemu oszustwu i, zawdzięczając tylko obronie Carowej-Wdowy, Iwan wyszedł cało i był zmuszony zająć się jedynie sprawami katedry Kronsztackiej, nie czynić cudów i nie ubiegać się o pokrewieństwo z Bogiem.

Wkrótce potem Iwan Kronsztacki zmarł, a nieustrudzona Gulajewa reklamowała cuda, odbywające się na grobie zmarłego. Trwało to aż do października 1917 r. gdy bolszewicy popsuli ten interes

Gulajewej, zburzywszy mogiłę cudotwórcy i wrzuciwszy jego szczątki do morza.

W pałacach arystokracji rosyjskiej uważano za honor przyjmować u siebie „świętego ojca”. Za taką przyjemność płacono 500 rub. złotych pani Gulajewoj, czasami miesiącami czekając, aż przyjdzie kolej na tę szczęśliwą i błogą chwilę.

Taki był „chrześcijański mistycyzm” w rosyjskim guście. Obok odbywała się uczta „biesów”.

Było to przejęcie się okultyzmem, jakiś chorobliwy zapal do „białej i czarnej magji”. A nie było to bynajmniej niewinne zajęcie lub naukowe zainteresowanie się temi tajemniczymi praktykami. W to wszystko była zamieszana zawsze najrealniejsza polityka, najżywotniejsza intryga na wielką skalę, lub przeżytki pogańskiej ideologii.

Już wspomniałem raz, że udzielałem lekcji synowi urzędnika z pałacu książąt Leuchtenberskich, kuzynów cara.

Poznałem tam wielu dygnitarzy z pałacu carskiego i byłem do jednego z nich zaproszony na wieczór, na którym miała być świeżo przybyła z Paryża znakomitość. Był nią słynny król okultystyczny — „profesor” Papus.

Seans w domu urzędnika nie udał się wcale. Jakieś niewyraźne zjawiska świetlane, jakieś szmery i stuki, jakieś zimne dotknięcia,—to było wszystko, co mógł osiągnąć ten „indyjski mahatma”.

Widziałem wiele bardziej ciekawych zjawisk w kołach mistycznych i okultystycznych w Paryżu, a później w Azji Centralnej.

Lecz po kilku dniach dowiedziałem się sensacyjnych rzeczy.

W pałacu jednego z najbardziej wpływowych wielkich książąt Papus w obecności cara i carowej wywołał zjawienie się ducha któregoś z umarłych carów, który rozkazał carowi zacząć wrogą względem Niemiec politykę, doprowadzić ją aż do wojny z Berlinem i strzec się polityki hr. Wittego i wpływów „nieznanej”, lecz potężnej i pięknej kobiety, w której wszyscy obecni widzieli... księżniczkę heską,—carową rosyjską.

Papus po tej lapidarnej, nawet na rosyjskie stosunki za bardzo przejrzystej intrydze, był zmuszony nagle wyjechać z Rosji... bez prawa powrotu. Po nim przyjechali inni „buddyjsko-massońscy” ajenci i w mniejszej, a bardziej oględnej skali prowadzili politykę swego „mistrza”.

Mniej wpływowym, lecz niemniej tajemniczym od Papusa, był niejaki Onore, niegdyś skromny urzędnik syberyjski.

Ten nieznany nikomu osobnik przez kilka lat swojej służby na Syberji studjował szamanstwo tubylców ałtajskich i nareszcie zaczął swoje własne praktyki, polegające wyłącznie na hipnotyzmie masowym i personalnym. Wkrótce wieść o jego

„cudownem“ leczeniu w różnych wypadkach chorób nerwowych dotarła do wielkich miast syberyjskich, i liczne zastępy pacjentów zaczęły przybywać do Onore. Wkrótce Onore zrozumiał, że mu zaciasno na Syberji i przybył do Piotrogradu, gdzie na początku leczył najbiedniejszych zupełnie bezinteresownie, utrwalając swoją sławę już w stolicy. Po pewnym czasie zaczął przyjmować bogatych pacjentów, biorąc duże honorarja, lecz wtedy Rada medyczna zajrzała do jego gabinetu i na podstawie tego, że hypnotysta nie był lekarzem z wykształceniem, zabroniła mu praktyki. Trwało to jednak nie długo i praktyka, coraz bardziej obszerna i zyskowna trwała dalej, a żadne władze nie mogły już jej przeszkodzić, chociaż w gabinecie Onore miały miejsce wypadki niebezpieczne dla życia i zdrowia wielu pacjentów.

Stała się zwykła rzecz. Jakieś dworskie koła, które zawsze eksploatowały zainteresowanie się carowej mistycyzmem i naukami tajemniczymi, zaangażowały Onore tak samo jak zaangażowały przed nim Rasputina, Papusa, Darjuskę—„Klikusze“, Iwana Bosego i innych „bożych ludzi“.

Onore został wprowadzony do „grupy“ Rasputina, której kierowniczką była Ignatjewa, a przewodnikiem do apartamentu pałacu Carskosielskiego był niestrudzony „specjalista od świętych i biesów“ książę Putiatin.

Od tej chwili Onore stał się gościem w na bardziej reakcyjnych salonach i w Carskim Stole, gdzie hypnotyzował carową i pomagał jej podczas ataków nerwowych.

W Petersburgu i Moskwie wymieniono kilka mion, uprawiających w roli kapłanów i kapłanek „djabolizm“. Śród tych imion spotykały się nazwiska dwóch prawosławnych popów, paru literatów, trzy artystki kabaretowe i niejaki generał Szulman. O ohydzie „czarnej mszy“, o rozpuszcie towarzyszącej tym djabolicznym „orgjom“, o niemoralnem podnieceniu „szatanistów“ rozpowiadano nie mniej niż o orgjach „klubu 69 pań“, o poufnych rendez-vous pań i panów w nieparzyste czwartki o „poniedziałkach niewinnych“, o całym szeregu różnych psychologicznych i fizycznych grupach, klubach, stowarzyszeniach, zebraniach.

Opjumizm, hasyzm, kokainizm, wyrafinowany alkoholizm—wszystko to było uprawiane z nabożeństwem, podniesione do stopnia niezdrowego kultu z epoki upadku narodów i mocarstw.

Szalona „uczta podczas dżumy“ odbywała się w tajemnicy wspaniałych pałaców i majątków arystokratów i bogaczy rosyjskich, a z każdym rokiem stawało się coraz bardziej jasnem, że powinna nastąpić i wybuchnąć jakaś straszna katastrofa. Przyszła ona 17 października 1917 r., gdy uliczna tłuszcza, żołdactwo i cudzoziemscy agenci zaczęli toczyć

krw i rozbijać mózgi arystokracji, a szął tłum i jego nienawiść przeniosły się na inteligencję, która zginęła bez śladu, osieracając do reszty naród rosyjski i pozostawiając go bez moralnego kierownictwa.

### Czarne cienie.

Rosja—ten kraj olbrzymi, to mrowisko ludzkie, liczące 150.000.000 mieszkańców, ten chaos polityczny, który tu panował, ta stała reakcja rządu i protestujący w sposób gwałtowny rewolucjonizm, ta ciemnota i mglistość umysłów rosyjskich i rozbieżność psychologii klas inteligentnych—wytworzyły doskonały teren dla działalności najciemniejszych i najniemoralniejszych elementów bądź to z obozu reakcyjnego, bądź to — z rewolucyjnego.

Postępowanie tych obozów było różne w metodzie, jednakowe w rezultatach.

Obóz reakcyjny posługiwał się systemem spodenia ludzi prowokacją, obozy rewolucyjne zaś—burzeniem podwalin państwowości, demagogicznym rozbudzeniem namiętności dziczy rosyjskiej, oraz terorem. Rezultaty były jednakowe: pogarda dla prawa i zupełne zdemoralizowanie mas narodowych.

Na tak świetnie przygotowanej glebie wspa-  
niale rozkwitły takie straszliwe, mroczne cienie,

jak Pobiedonoscew, Kurlow i takie echa średnio-wieczna, jak Griszka, Rasputin, biskup Pimen, mnich Heliodor. To—z obozu reakcyjnego, z obozu zaś rewolucyjnego—Azef, Marja Spiridonowa, Borys Sawinkow, Kierenski, Malinowski i inni.

Znany rewolucyjny publicysta Burcew, zakończywszy swoje sekretne dochodzenia śledcze o wewnętrznym stanie partji rewolucyjnych, zamieścił w prasie rosyjskiej i francuskiej cały szereg artykułów, dowodzących, że partje te były przegniłe zupełnie, zarażone agentami rządu, którzy, udając członków partji, szpiegowali, denuncjowali, rozbijali partje, wprowadzając do nich zupełną demoralizację.

Już wspominałem o byłym ober-prokuratorze Synodu, Konstantym Pobiedonoscewie. Był to zły, czarny genjusz Rosji, człowiek, który prowadził biurokratyczną myśl rządu po drodze najskrajniejszej reakcji, w kierunku utrzymania narodu w ciemności umysłowej pod jarzmem pokory przed carem, kociołem i urzędnikiem.

Pobiedonoscew zadusił wiele przejawów zdrowej, światłej państwowej myśli, doprowadził do zguby wielu wybitniejszych ludzi, wydał dekret Synodu o odłączeniu Tolstoja od kościoła prawosławnego i zmusił kilku najświetniejszych uczonych do porzucenia ojczyzny.

Podobienoscewa nazwano bardzo trafnie „Wielkim Inkwizytorem“.

Przed tym ober-prokuratorem Synodu drżę metropolici, biskupi i przeorzy klasztorów. On potrafił zmienić kościół prawosławny w kancelarię policji tajnej, on też zgubił wpływ kościoła w Rosji i zwrócił gniew narodu przeciwko kościołowi i duchownym.

Obok tego ponurego czarnego „Wielkiego Inkwizytora“ muszę wspomnieć inną straszliwą postać — generała Kurlowa.

Szef korpusu żandarmów, wice-minister spraw wewnętrznych, gen. Kurlow był kierownikiem tajnej policji politycznej, t. zw. „Ochrany“.

Przekupywanie członków rewolucyjnych partij i werbowanie ich do szeregów agentów „ochrany“: inscenizowanie zamachów terrorystycznych na tych dygnitarzy, którzy hołdowali liberalnym prądom w polityce; torturowanie więźniów politycznych, liczne wyroki śmierci; organizacja pogromów Polaków, Łotyszów, Finów i żydów; prześladowanie nacjonalistycznych przywódców narodów, wchodzących w skład Rosji, szpiegostwo, ucisk, duszenie prasy i oświaty, — to jest krótki spis czynów szefa żandarmów, generała Kurlowa.

Był on „nieśmiertelnym“, gdyż zmiany gabinetów oraz wewnętrznych kierunków polityki, nigdy nie dotknęły Kurlowa. Zawsze stał on na

czele korpusu żandarmów, który był największą potęgą w Rosji, gdyż mógł obalić każdego ministra. W kancelarji „Ochrany“ był specjalny oddział gdzie sprawowano ścisły nadzór nad słowami i czynami ministrów i innych dygnitarzy, a nawet nad wielkimi książętami. Niełaska, w którą popadła rodzina słynnego poety i prezydenta Akademji Nauk, liberalnego, wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza, oraz wybitny historyk, wielki książę Mikołaj Michajłowicz — była dziełem rąk Kurlowa i jego tajnej policji.

Kurlow dokonał szatańskiego planu rozbicia rewolucyjnych grup i organizacji za pomocą przekupionych przez siebie wybitnych członków partji. Potrafił zniewolić ich do wydania mu kompromitujących ich dokumentów, i od tej chwili ci ludzie stawali się igraszką w jego ręku. Taki zdrajca już nigdy nie mógł wydostać się z rąk Kurlowa, z każdym rokiem dokonywał coraz nowych i straszniejszych zdrad i zbrodni, wiedząc, że w razie gdyby jego czyny stały się wiadomymi partji, niechybnie zostanie zabity na mocy sądu rewolucyjnego.

Dyrektor departamentu policji Łopuchin kilka razy usiłował przekonać Kurlowa, że ta polityka prowokacji jest zgubną, gdyż demoralizuje cały system rządowy i nie daje pewności, że sama policja nie będzie przekupiona przez wrogi obóz.

Obawiał się też, o rewelacje z czynności tajnej policji, które, gdyby się przedostały do prasy zagranicznej, wywarłyby jaknajgorsze wrażenie wśród sprzymierzeńców i wrogów, co musiałoby się odbić na ogólnopolitycznych sprawach Rosji.

Szczególnie protestował Łopuchin przeciwko stosunkom Kurlowa z niejakim Azefem, który, służąc jako agent „Ochrań”, był jednocześnie wybitnym i wpływowym działaczem w rosyjskich i zakordonowych organizacjach rewolucyjnych. Pod tym względem Łopuchin obawiał się powikłań międzynarodowych, gdyż działalność Azefa wkraczała w obręb zagranicznych spraw politycznych. Łopuchin dostał dymisję, a wkrótce potem znany publicysta W. L. Burcew w prasie francuskiej i rosyjskiej zakordonowej poczynił szereg rewelacji, zrywając maskę między innymi z Azefa. Skandal był oszałamiający, lecz wybuchnął zapóźno. Partje rewolucyjne faktycznie były rozbite do szczeru zarówno przez areszty, dokonane na skutek wskazówek Azefa, jak też z powodu panującej nieufności, podejrzliwości i demoralizacji, które niszczyły wszelkie organizacje rewolucyjne, faktycznie przedtem kierowane przez Azefa.

Wtedy to właśnie wyłonił się rewolucyjny, socjalistyczny odłam, który zmienił wewnętrzną organizację, a w kilka lat później wypłynął na wi-

downie światową pod nazwą narazie bolszewizmu, a później komunizmu.

Słynny wódz robotników w okresie rewolucji 1905 r. pop Gapon był także narzędziem tajnej policji politycznej i on to podprowadził rozentuzjasmowanv tłum, błagający cara o konstytucję, pod sztachety pałacu Zimowego w Petersburgu, gdzie pułki generała Trepowa rozgromiły go.

Pop Gapon, ten uduchowiony kaznodzieja, socjalista, bożyszcze robotniczych warstw, był agentem Kurlowa i za judaszowe srebrniki wydał na śmierć wierzące mu setki bezbronnych robotników. „Ochrana” pomogła mu ukryć się w Filandji, lecz rewolucyjny sąd wytropił go tam, i inżynier Rutenberg powiesił go w samotnym domku w Terjokach.

Obok tych upiorów reakcji działały prawie w tych samych kołach inne osobistości,—agenci rewolucji. Było ich wielu, lecz wspomnę tylko tych, których za takich nie uważano i przyjmowano tam, gdzie właśnie knuto plany napadu na obóz rewolucyjny i dokąd czasami zaglądał sam „potężny” Kurlow.

Jeden z nich był stary filozof-anarchista, sceptyk i cynik Sołncow. Figurował on w kilku powieściach rosyjskich beletrystów, gdzie przedstawiano go w bardzo sympatycznych kolorach. Sołncow nigdy nie bał się wypowiadać swoich skrajnych lewicowych przekonań, lecz czynił to w tak

przesadnej formie, że brano go za dziwaka i nikt na niego nie zwracał żadnej uwagi, jako na polityczną osobistość.

Spotkałem Sołncewa parę razy na zebraniach u redaktora „Historycznego Gońca” B. Glińskiego. Wygłaszał takie anarchistyczne poglądy, przejawiał tyle cynizmu w kwestjach społecznych i dotyczących religii, że nazwa „stary dziwak”, „Djogenes” wydawała się być całkiem uzasadnioną.

Lecz jakież było zdziwienie wszystkich, gdy w dobie wybuchu rewolucji 1917 r. ten „Djogenes” ukazał się na czele doskonale zorganizowanej armii anarchistów-komunistów. Pod jego dowództwem zdobyto szturmem pałac Leuchtenbergów, pałac baletnicy Krzesińskiej, pałac Durnowo w Petersburgu, a policja i wojsko nic nie mogły wskórać przeciwko anarchistom. W grudniu zaś 1918 r. Sołncow ogłosił bolszewików zacofańcami i wypowiedział im wojnę. W Moskwie bojowe oddziały anarchistów, posiadające artylerię, w ciągu dwóch dni faktycznie tam panowały, lecz potem były zmuszone pójść na kompromis i dojść do pewnego porozumienia z Sowietami.

Prawdziwe nazwisko Sołncewa jest Blejchman.

Drugim nieznanym rzecznikiem bolszewizmu był bogaty, wykształcony wydawca książek z socjologii, historii i psychologii p. W. Boncz-Brujewicz. Brat tego rewolucjonisty, obecnego szefa głównej

kancelarii rządu Sowietów, generał sztabu generalnego był pewien czas naczelnym wodzem armji rosyjskiej za pierwszych rządów rewolucyjnych.

Boncz-Brujewicz bywał mile widzianym gościem w najlepszym towarzystwie petersburskiem, w kołach wyższych oficerów w sferach najszczytniejszej inteligencji. Znał wszystkich, wiedział o wszystkim, bo to był „swoi” człowiek, stary szlachcic, inteligent pełnej miary, ujmujący człowiek. W tym samym czasie był on tajnym kierownikiem skrajnych, wrogich państwowości odłamów socjalistycznych, graniczących z anarchizmem.

U niego to ukrywał się podczas rewolucji 1905 r. obecny dyktator Rosji, Leon Trockij-Bronsztein, gdy był vice-prezesem Rady robotniczych i żołnierskich deputatów, on to kierował, niewidzialny i tajemniczy, pracami Chrustalowa-Nosaria, prezesa tej Rady, już wtedy prowadząc ją w stronę maksymalizmu i już wtedy tworząc partję bolszewicką.

Opowiadano mi, że bywały takie wypadki w domu Boncz-Brujewicza: — Gospodarz w smokingu w swoim gabinecie, urządzonym z przepychem, częstował gości kawą, likierami, cygarami, a w dalszych pokojach — szara, mściwa rzesza przyszłych dyktatorów naradzała się nad systemem zburzenia Rosji carskiej, burżuazyjnej, a potem socjalistycznej.

## Widma z Apokalipsy.

Podczas wrzającej, zaciętej walki sił reakcyjnych z siłami rewolucyjnymi, walki, w której zarówno reakcja, jak i rewolucja przeoczyły zjawienie się nowego ogólnego wroga: — komunizmu, — na horyzoncie politycznym Rosji wyrastały jakieś widma, które zrodzić się mogły tylko w wyobraźni twórcy Apokalipsy.

Pierwszym z nich był dawny złodziej koński pijak i rozpustnik — Griszka<sup>1)</sup> Rasputin. Samo nazwisko Rasputina, — co znaczy „rozpustny” już się zdawało nie nadawać do tej roli, jaką odegrał tajemniczy awanturnik, i do tych przydomków, jakie sobie wkrótce zdobył: święty starzec, duchowny ojciec, cudotwórca, „czara błogości” etc.

<sup>1)</sup> Lekceważąco skrócenie imienia Grzegorz.

Chłop z gub. tobolskiej na Syberji, niepiśmienny i nałogowy pijak, Rasputin trudnił się wraz z bandą cyganów kradzieżą koni i był kilka razy ścigany i przez chłopów i przez policję. Nareszcie, pewnego razu, po nieudanej wyprawie, był już prawie schwytany, lecz w ostatniej chwili wymknął się i skrył się w odosobnionym klasztorze, gdzie był przeorem surowy, ascetyczny i niezupełnie normalny psychicznie mnich Pimen.

W klasztorze trochę nauczono „brata Grzegorza” czytania i pisania, lecz do kapłaństwa z braku wykształcenia, a także z braku pociągu do obyczajów powściągliwych dopuszczony jednak nie był.

Istniały legendy o romantycznych wyprawach Rasputina do okolicznych wsi, o jego powodzeniu u kobiet i o jego umiejętności przemówienia do każdego w zupełnie odmienny sposób.

Gdy przeor Pimen czuł potrzebę zasilków pieniężnych, to zwykle posyłał do bogobojnych, a bogatych kupców tobolskich i tarskich Rasputina, który zawsze potrafił namówić ich do ofiarności. To bardzo ceniono w rozpustnym „braciszku” i posługiwano się nim jako dyplomatą klasztornym.

Jednakże wieści o pijaństwie, hazardowej grze w karty i rozpucie Griszki nadchodziły ze wszystkich stron. Opowiadano o całych orgjach, urządzanych przez „braciszka” po każdym pomyślnem zakończeniu dyplomatycznej wyprawy po pieniądze dla

klasztoru; mówiono o udziale Rasputina w śmiałych napadach złodziei konskich za Uralem.

Nareszcie buchnęła wieść, że podczas jakiejś miłosnej wyprawy do wsi wynikła bójka na noże, i że Griszka Rasputin zabił jednego z napastników. Po tej historii Rasputin już do klasztoru się nie zjawił, lecz w ubraniu mnicha długo błakał się po Syberji, aż się dostał nareszcie nad Wołgę, gdzie wkrótce zasłynął jako „święty” „Boży człowiek” wśród przestarzałych dewotek z klasy bogatych kupcowych.

Oczywiście nie można było odmówić temu człowiekowi niektórych nadzwyczajnych zdolności. Jego przenikliwe, ostre, jak u żbika, palające oczy zaglądały, zdawało się, do mózgu i wdzierały się do duszy.

Mógł zrozumieć i ocenić każdego człowieka z pierwszego rzutu oka. Był wielkim znawcą ludzi, ich charakterów, psychologji i życzeń. Nadto był bardzo silnym hypnotyzerem, miał nieprzepartą władzę sugestjonowania innych i wywierał wpływ zarówno na pojedyncze osoby, jak też na większe ilości ludzi. Miał siłę władzy i przekonania w głosie, w tym głuchym, groźnym głosie, podobnym do ponurego szmeru drzew w dziewiczym lesie syberyjskim, w którym tak romantycznie i burzliwie spędził swoją młodość.

Kiedyś w Petersburgu jechałem tramwajem

Była godzina poranna i publiczności było mało. Czytałem gazetę i naraz poczułem wprost fizyczne uderzenie w głowę. Szybko obróciłem się na prawo i spotkałem się z oczyma wysokiego, chudego człowieka o ascetycznej nieruchomej twarzy. Był ubrany bogato, we wspaniałe futro sobolowe i taką czapkę, lecz krój ubrania był dziwny i przypominał sutannę mnichów. Nie wiedziałem co myśleć, gdyż spostrzegłem wysokie buty z cholewami, a gdy, wyjmując chustkę do nosa, rozpiął futro, mignęła na chwilę zwykła rosyjska kożucha z czerwonego jedwabiu. Znowu uczułem potrzebę patrzenia w oczy dziwnego człowieka. Naraz z przerażeniem zauważyłem, że te oczy znikły, a na ich miejscu krzyżowały się i jeżyły jakieś świetlane promienie, zasłaniające odemnie jego oczy i część twarzy.

Naraz oczy znowu się ukazały i na twarzy nieznajomego zjawił się pogardliwy i szyderczy uśmiech. Zrozumiałem, że robił na mnie doświadczenie swej hypnotycznej siły. Postanowiłem więcej na niego nie patrzeć i wytrwałem. Gdy wychodziłem, musiałem przejść obok nieznajomego. Dotknął mnie ręką i rzekł:

— Wiem, że jesteś literatem! A tymczasem nie chcesz patrzeć na mnie? Przecież jestem Rasputin, Grzegorz Rasputin—„Boży człowiek”!

Takie było moje pierwsze spotkanie się z Ras-

putinym. Drugie było „półmistyczne“. Została otwarta wystawa obrazów w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Całe tłumy gromadziły się i cisnęły do smutnego niedokończonego obrazu znanego w Anglii malarza rosyjskiego, Mikołaja Rajewskiego. Portret wyobrażał wysokiego, chudego człowieka w czarnym półmnisim ubraniu, o suchej, wynędzniałej twarzy, o długich czarnych włosach, spadających na czoło i o powichrzanej czarnej brodzie. W katalogu było oznaczone „Nr. 144. Portret nieznajomego“.

Lecz nie ubranie, nie twarz, nie czarne włosy i nawet nie jakaś nieokreślona tajemniczość portretu przykuwały do niego uwagę tłumu. Wszyscy patrzyli w czarne przenikliwe oczy, żywe i czujne, jak u zwierza, przygotowanego do napadu niespodziewanego i niebezpiecznego. Gdy spojrzałem z kolei, podszedłszy bliżej do portretu, oczy znikły za świetlną zasłoną, która wynurzyła się z czarnej tajemniczej głębi tych przenikliwych źrenic.

— Djabeł, a nie człowiek! — wykrzyknął ktoś z widzów.

— To Rasputin! — objaśnił ktoś inny. — Czegoż chcecie?

— Czarna siła! — westchnęła jakaś bogobojna dama.

— Święty potężny, „boży człowiek“! — za-

protestowało naraz kilka głosów. Tłum zaczął się rozpraszać. Podchodzili inni widzowie.

Trzecie spotkanie moje z Rasputinym było przy fatalnych dla niego okolicznościach.

Reporter dziennika, który redagowałem, zatelefonował do mnie i oznajmił, że zabito Rasputina i, że zwłoki jego są poszukiwane przez władze. Po paru godzinach dowiedziałem się, że zwłoki zostały wykryte. Pojechałem na miejsce wypadku. Właśnie w tej chwili z przerębła na powierzchni zamarzniętej rzeki M. Newy wydobyto ciało Rasputina. Był ubrany we wspaniałe futro i w czarną jedwabną koszulę; na jednej nodze na lakierowanym buciku spostrzegłem wysoki, wojskowy kalosz. Był bez czapki. Miał rozbitą twarz, uszkodzone oko i wyraźne ślady palców, duszących go za gardło. Była to ofiara politycznej, a może i osobistej zemsty, jaką dokonali wielki książę Dymitr, hr. Sumarokow-Elston i poseł do dумы państwowej, Włodzimierz Puryszkiewicz.

Artysta malarz Rajewski, który malował portret Rasputina <sup>1)</sup>, bardzo się interesował tą tajemniczą osobistością i dużo opowiadał mi o „bożym człowieku“. Z tych opowiadań można było wywnioskować, że Rasputin posiadał dla kobiet nieprze-

<sup>1)</sup> Na żądanie carowej Aleksandry, portret ten był usunięty pierwszego dnia z wystawy.

party urok. O jego miłosnych awanturach mówiono wszędzie. Ten złodziej koński przedostawał się do alkowy najwybitniejszych arystokratek petersburskich z taką samą łatwością, z jaką romansował w skromnych mieszkaniach podstarzałych wdów kupieckich lub z artystkami „Variété” w „Willi Rodé”. Umiał być porywającym, płomiennym, żywiołowym. Często mawiał:

— Kobieta jest stworzona dla przyjemności sławy mężczyzny!

Ludzie nabożni opowiadali, że Rasputin posiadał niezrównany talent modlenia się. Modlił się w prostych, niekulturalnych nawet słowach, modlił się płomienną namiętnością, pęcią i natchnieniem. Zdawało się, że widzi przed sobą oblicze Boga i, że mówi do niego ludzkimi, prostackimi zrozumiałymi słowami. Nerwowe drżenie ramion, rąk, spazmy w głosie, pełne męki i prośby kurczowe ruchy twarzy. Łzy i ogień oczu wywierały straszliwe wrażenie na nabożnych, mistycznie nastrojonych widzach. Głuchy, groźny głos tego złodzieja końskiego nabierał takich tonów, dźwięczał z taką namiętnością i siłą, że wydawało się, iż ktoś inny, czysty i pełen błogości, mówi ustami tego człowieka.

Często zwracał się do świętego obrazu, wyciągał ręce i mówił błagającym i rozkazującym tonem głosem.

— Zwróć Twe oczy ku nam i daj znak, iż słyszysz!

I modlącym się wydawało, że oczy obrazu poruszały się i patrzyły na tłum.

Rajewski opowiadał, że pewnego razu, gdy Rasputin pozował mu do portretu, ktoś z bardzo znanych arystokratów zajechał samochodem i, wbiegając do pracowni, zawołał, padłszy na kolana przed Rasputinem,

— Ojczy, brat mój umiera! Ratuju...

Rasputin natychmiast wstał i, nie narzucając futra, zaczął zbiegać schodami na dół, szepcząc:

— Boże, Boże, Twórco życia, pozwól zdążyć na czas!

W pałacu Rasputin znalazł już starszego człowieka w strasznym ataku astmy, wzmożonym przez atak sercowy. Chory był już bez przytomności. Rasputin długo wpatrywał się mu w twarz, a potem zawołał, czy ściślej mówiąc, zawył, jak wyje przerażony pies w długie, zimowe noce:

— Dlaczego nie wołasz o pomoc Boga?! Dlaczego nie prosisz Go: „Odwróć odemnie chorobę moją i daj mi, Twórco, siły, chwalić Imię Twoje przesławne”! Obudź się i powtórz te słowa modlitwy mojej! Obudź się!

— Czy może pan sobie wyobrazić?—opowiadał Rajewski, — że hrabia poruszył się, otworzył zdziwione oczy, przycisnął ręce do serca i słowo

w słowo powtórzył tę krótką, lecz niezupełnie zwykłą modlitwę. Co do mnie byłem zdumiony!

Inny znowu mój znajomy, znany rosyjski krytyk i poeta A. A. Izmajłow opowiadał mi tak:

— Z wielkim trudem udało mi się dotrzeć do Rasputina, chciałem mieć z nim interwiew, ale oznajmiłem, że chcę pomówić o wspólnych znajomych z Wołgi. Gdy wszedłem, siedział w fotelu i badawczo patrzył na mnie. Uśmiechnął się po błaznliwie i szepnął:

— Dziennikarz? POCO chcecie mnie oszukać?

Zamknął. Milczałem też, gdyż widziałem nieśmiało Rasputina dla dziennikarzy, którzy psuli mu dużo krwi.

Co miałem mówić, gdyż po jego słowach zdradziłem się swoim zmieszaniem?

— O żadnych moich sprawach nie będę z tobą rozmawiał — odezwał się nareszcie Rasputin — lecz chcę mówić o tobie. Gdy miałeś 11 lat śmierć groziła ci tuż ponad ziemią. Widzę to wyraźnie. Powiedz, jak to było?

— Oczywiście — opowiadał Izmajłow — gdy miałem lat 11, wraz z bratem staraliśmy się upolować zająca, który przychodził do naszego ogrodu warzywnego. Brat miał strzelać, ja zaś wypłoszyć zająca. Gdym szedł pomiędzy grzędami, zawadziłem o coś nogami i upadłem. To mi uratowało życie, gdyż jednocześnie wyskoczył zając,

brat strzelił i nabój przeleciał nademną nie zraniwszy mnie tylko dlatego, że uchroniła mnie wysoka grzęda...

Gdy Rasputin wysłuchał mnie, rzekł:

— Strzeż się małej ulicy, gdzie stoi czerwony dom o dwóch wieżach. Pamiętaj o tem, a teraz idź sobie.

Nie wiem czy skorzystał Izmajłow z przestrogi Rasputina, czy nie. Nie mam żadnej wiadomości o nim, pozostał w Sowieckiej Rosji i mógł z łatwością zginąć w jej krwawym wirze.

Alfred Rodé, właściciel słynnej „Willi Rodé“, i paru oficerów byłej carskiej gwardji opowiadali mi o orgjach, urządzanych przez Rasputina, o ich wyuzdaniu, cynizmie i grubiaństwie. Często pozwalali sobie obrażać biesiadników, wyśmiewać ich przekonania i sposób zachowania się. Pewnego razu, chęłpiąc się bliskim stosunkiem do dworu Carskiego, pokazał wyszytą jedwabiem koszulę i zawołał ze śmiechem i urąganiem:

— To „Saszka“<sup>1)</sup> wyszywała.

Wybuchnął straszny skandal. Jeden z oficerów gwardji rzucił się na Rasputina i rozpoczęła się bójka, w której oficer butelką zranił „bożego człowieka“ w głowę.

<sup>1)</sup> Pogardliwe, skrócone imię Aleksandra, jakie nosiła cesarowa.

Gabinety „Willi Rodé“ były świadkami ohydnych orgji Rasputina i jego towarzystwa, kompromitujących arystokratyczne panie i panny, skandalów, tajnych rozmów politycznych, zamachów, spisów. Była to jakaś tajemnica „Dworu Madryckiego“ w XX wieku, a w centrum tej tajemnicy stał „koniokrad“ „święty“ Grizka a Rasputin.

Rasputin wiedział o przygotowujących się na niego zamachach, kilka z nich przeżył, wiedział, że czeka na niego prędka śmierć i bał się jej straszliwie. Kiedyś w napadzie tej strasznej tęsknoty w oczekiwaniu śmierci, siedząc przy łożu carowej, wyjącej z bólu i męki, otoczonej przez łkające córki, zawołał w uniesieniu:

— Włos wam z głowy nie spadnie do czasu, aż będą z wami moje portrety i część mego ubrania. Pamiętajcie!

Musiało to tak być, bo w połowie 1916 r. po zamachu na Rasputina nagle kazano fotografowi Ocurowi przybyć do mieszkania Rasputina i zrobić siedem<sup>1)</sup> dużych zdjęć portretowych „starca“ i w obecności sekretarza Rasputina dokonać wszystkich operacji i oddać mu kliszę. W tym samym czasie z pałacu Carskosielskiego wyszła wiadomość, która wprowadziła wszystkich w zdumienie. Dowiedziano się bowiem, że po długiej rozmowie

<sup>1)</sup> Rodzina cara Mikołaja składała się z 7 osób.

z carową i jej córkami, Rasputin we łzach opuścił apartamenty Aleksandry i udał się do swoich pokojów, gdzie się przebrał, a później powrócił, niosąc porwaną na siedem kawałków swoją jedwabną, czarną bluzę

Mistyka, gra na nastrojach i przeczuciu bliskiej klęski, sugestja, wprawne wykorzystanie sytuacji, w tem była siła Rasputina. Na Syberji, gdzie nienawidzono Grizki, obecnie już za panowania bolszewików szepczą:

— Pies był Rasputin, a silny, niesamowity człowiek! Przepowiedział Mikołajowi czarne dni po swojej śmierci i — stało się! Przepowiedział, że będą żyli Romanowie do chwili póki będą przy nich jego portrety i skrawki bluzy — i żyli, a gdy komisarz Jurowskij odebrał to od nich, — zostali zamordowani. Silny, niesamowity był Grizka! Antychryst, sługa diabła...

Zamachów na Rasputina było kilka, lecz bez żadnego rezultatu. Najważniejsze były dwa: Jeden na Syberji, kiedy mnich Heliodor posłał do niego jakąś półobląkaną kobietę wiejską, która zadała mu kilka ran nożem w brzuch. Rany były dość poważne, lecz Rasputin wyżył.

Za drugim razem, gdy jechał sankami z Petersburga do Carskiego Sioła razem z przyboczną damą Carowej i jej najbliższą przyjaciółką, panią Wyrubową, sanki zostały wywrócone przez jakiś

amochód, któremu udało się zbiec. Wyrubowa miała po tym wypadku połamane nogi, Rasputin był tylko lekko potłuczony.

Na czele organizacji, walczącej z Rasputinem stali metropolita Moskiewski Makary, biskup Samarski Pimen i mnich Heliodor, mając za sobą paczkę wpływowych i bogatych ludzi z prawdziwie nacjonalistycznych sfer.

Po ostatnim zamachu, który się zakończył śmiercią Griszki, rozpacz carowej i córek nie miała granic. Noszono nawet żałobę po nim. Zwłoki „starca” były pochowane we wspaniałej kaplicy, wzniesionej z tego powodu w parku Carskosielskim, a codzienne pielgrzymki rodziny cara dowodziły głębokiej żałoby po „świętym ojcu”, którego życie tak mistycznie związane było z losami dynastji.

Mówiąc o jakimś tajemniczym łączniku pomiędzy dynastją Romanowych, a Grzegorzem Rasputinem, przypominam sobie istniejącą i bardzo w dawnej Moskwie popularną legendę, która była żywo omawiana w czasach wojny 1812 r. po zdobyciu przez Napoleona Moskwy.

Gdy obrano na tron rosyjski dynastję Romanowych w osobie młodocianego cara Michała Teodorowicza, ta uroczystość odbyła się w klasztorze Ipatjewskim, wybudowanym przez rodzinę bogatych kupców Ipatjewych, w Kostromie. Podczas

procesji jeden z licznych epileptyków, czyli „klikusz”, imieniem „Griszka”, wpadł w obłęd i zaczął wykrzykiwać przepowiednie:

— Długie wieki panować nam będzie ten ród! Do sławy i potęgi dojdzie... Zginie pod dachem Ipatjewskim po Griszce...

Historja dynastji odpowiada temu prorocत्वu, narazie niezrozumianemu przez współczesnych.

Oczywiście dłużej niż 300 z górą lat panowała dynastja, doszła do sławy i potęgi, a zginęła po Griszce (Rasputinie) pod dachem domu Ipatjewych w Jekaterynburgu, dokąd z Kostromy przenieśli się niegdyś potomkowie założyciela Ipatjewskiego krasztoru.

W roku 1812 w Moskwie zjawił się jakiś prorok Griszka który przepowiedział zgubę Rosji i dynastji. Wtedy to przypomniano legendę, tembardziej, że wojska rosyjskie częściowo cofały się na Kostromę i z niemi miał być car Aleksander I. Lecz policmajster Moskwy posłyszawszy o prorocत्वie Griszki, kazał go schwytać i zatłuc batami.

Prorocत्व Griszki „bożego człowieka”, i „epileptyka” z przed dwóch stuleci odrodziło się na sto z górą lat, po to tylko, aby się spełnić w bardziej ponury i straszliwy sposób po Griszce — złodzieju końskim, a też „bożym człowieku” po dług pojęć dworu i niektórych arystokratów rosyjskich, w XX wieku.

## Fabryki niemoralności.

Ciemnota duchowa, polityka wewnętrzna Rządu były przyczyną stałego głodu w Rosji. W najpomyślniejszym czasie piąta część ludności wsi bywała w szponach głodu, wymierając z wycieńczenia oraz „tyfusu głodowego”. Pierwotne sposoby gospodarki rolnej w tych obwodach, gdzie nie istniało kulturalnych obywatelskich majątków, upór i zabobonny strach chłopów przed wszelkimi nowocześniejszymi sposobami rolnictwa z roku na rok zmniejszały urodzaje i wyczerpywały glebę. Nareszcie całe rodziny porzucały ziemię i przenosiły się do fabrycznych miast na zarobek.

☉ Tu w bardzo krótki przeciąg czasu rodziny te się rozpadały i rozpraszały po całej Rosji, najczęściej tracąc zupełnie wszelką łączność ze sobą i już nigdy się nie spotykając. Nie mający żadnych moralnych podstaw, słabo wychowani w zasadach religijnych, ludzie ci stawali się zdeklarowanymi, zdemoralizowanymi przedstawicielami najgorszego typu lumpen-proletariatu, bohaterami w duchu Maksyma Gorkiego. Szczególnie szybko i szły ku całkowitemu upadkowi kobiety, które albo ginęły po szynkach, i szpitalach, zarażone najohydniejszymi chorobami, lub znikwały bez śladu w domach, nad drzwiami, których ponuro świeciła „czerwona latarnia“.

Na wsiach zjawiała się nawet specjalna nazwa dla tych, którzy poszli na fabrykę lub kopalnię. Nazywają ich „posadskimi” jest to wyraz pełen pogardy, oznaczający złodzieja, zbrodniarza, warchoła i nicponia z przedmieścia.

Czasem jednak chłopska rodzina usiłuje utrzymać się na roli, a wtedy wysyła członków swoich — mężczyzn i kobiety na dorywczy sezonowy zarobek do miasta. Rzadko się jednak zdarza, żeby ci wysłańcy po zarobek od razu powrócili do domu. Zwykle przysyłał pieniądze, sami zaś pozostawali na dłuższy czas w miastach. Gdy zaś zjawiali się na wsi, przywozili ze sobą wrogi i niebezpieczne dla wsi obyczaje i nawyki, rozwiązłość ruchów i słów, pogardę dla tradycji rodzinnych, obojętność dla wiary. Z tymi przybyszami wraz z ich „europejskimi” garniturami, kapeluszami, jedwabiami i przezroczestymi pończochami wrywały się do życia wsi straszliwe choroby, które dziesiątkowały ludność, doprowadzając ją w krótkim czasie do zwyrodnienia, co szczególnie dawało się obserwować w centralnych guberniach Europejskiej Rosji.

Ale doprawdy sprawiedliwość każe bronić tych trucieli wsi, bo nie są oni tak bardzo i wyjątkowo winni.

Winien był rząd i społeczeństwo.

Dam kilka obrazków z życia tych chłopów

Cień ponurego wschodu.

i wieśniaczek, przeważnie młodych i zupełnie nie-  
doświadczonych.

Przybywa jedna taka grupa wieśniaków na  
zarobek do wielkiego miasta. Rozpoczyna się cho-  
dzenie po biurach fabrycznych, uniżone pokłony,  
prośby o pracę. Lecz o nią trudno tym niepiś-  
miennym, naiwnym, półdzikim biedakom, którzy  
kłaniają się, padając do nóg każdemu stróżowi na  
fabryce, modlą się na widok nie tylko świętego,  
lecz każdego wogóle obrazu, oprawionego w ramy  
płaczą na głos lub wyją z rozpacz. Tak przecho-  
dzą dnie. A w międzyczasie zjada się cały zapas  
żywności, przywiezionej ze wsi, wydaje się drobny  
zasób pieniędzy, wziętych na pierwsze dnie z do-  
mu. I oto pewnego wieczoru biedacy, młodzi  
wieśniacy i wieśniaczki, głodni i zrozpaczeni, mu-  
szą spędzić noc na ulicy.

Lecz tu mróz lub ślota jesienna, przenikliwa  
i ponura, która pędzi bezdomnego człowieka tam,  
gdzie połyskują światła w oknach szczęśliwych  
„bogaczy!“ Dąży tam gromada biedaków... jak ćmy  
na ogień. Lecz policja baczy, aby „tacy nędzarze  
nie włóczyli się czystymi“ ulicami, a więc chwytają,  
odstawia do urzędu policyjnego, a, zrewidowawszy  
paszporty, odsyła w drodze łaski i opieki nad  
chłopem do „przysiółka nocnego“.

Gdy w 1908 r. zwiedzałem te przysiółki w Pe-  
tersburgu, myślałem, że jestem nieprzytomny lub

śnię, takie to było straszne, beznadziejne i ohydne.  
Już wtedy instynktownie czułem, że z tych jaskiń  
ciemnych i cuchnących, wyjdą jacyś nieznani, lecz  
potworni mściciele. Oni też wyszli, krwią zaleli  
Rosję i we krwi giną.

Ale gdy opisywałem „przysiółki nocne“ stoli-  
cy, w jednym z poczytniejszych pism i w mie-  
sięcznikach, jak protestowała oficjalna prasa i jakie  
kary spadły na pisma, drukujące moje feljetony!

Na krańcach olbrzymiego miasta pałaców  
i przepychu, gdzieś poza ogrodami warzywnymi  
i cmentarzami dla nędzarzy i samobójców, piętrzą  
się w kilku dzielnicach czarne masywy, pozbawio-  
ne najmniejszych ozdób, pooblupiane z tynku  
wielopiętrowe domy o wytłuszczonych szybach,  
o oknach, zatkniętych jakimiś brudnymi szatami,  
o wystających z lufcików czarnych zgięciach blasza-  
nych, rur od żelaznych piecyków.

Ciemno w tych oknach, chociaż jest za ledwie  
9-ta godzina. Tylko nad bramą miga żółty pło-  
myk latarni nad sztyldem „Przysiółek nocny“.

Tłum ciemnych postaci tłoczy się przed bra-  
mą, drżąc z zimna, łkając, wzdychając, lub cicho  
płacząc.

Nareszcie brama się uchylila i kilku tęgich  
chłopów wpuszcza biedaków, ale za ledwie tylu,  
ilu mieści przysiółek: jeżeli jednak ktoś może

wcisnąć do rąk dozorca drobną monetę to wpuści i dwa razy tyle.

Biedacy wiejscy dostali się do przytułku. Idą wraz z innymi przez ciemne, pokryte błotem podwórze, podnoszą się żelaznymi schodami i nareszcie dochodzą do kantoru gdzie przeglądają paszporty i wskazują numer pokoju. Weszli nareszcie. Olbrzymia, pół-ciemna o niskim suficie sala. Wąskie przejście w środku zarzucone cuchnącymi butami, szmatami do owijania nóg dziurawymi kaloszami tych, którzy wcześniej zdążyli dotrzeć do tego przytułku.

Z obydwóch stron przejścia wznoszą się na pięć pięter prycze drewniane, brudne, niczem nie przykryte. Gorące, duszne, cuchnące powietrze, przesycone dymem i czadem żelaznego piecyka, zapachem nafty z małej lampki, kopcającej pod sufitem, wyziewami brudnych, znużonych i chorych ludzkich ciał.

Na półkach rzuceni jak nikomu niepotrzebne szmaty, lub połamane dawno zużyte sprzęty, leżą ludzie: młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, zbrodniarze i cnotliwi, rozpustni i niewinni... Obok młodego, chwytającego się życia i jeszcze zdolnego do marzeń młodzieńca, nie skarżąc się nie wołając o pomoc, umiera stary włóczęga który dobiegł nareszcie swego kresu, ciemnego jak ten przytułek nocny, życia: do ucha młodej dziewczyny-wieś-

niaczki, prawie dziecka, szepce ohydne słowa pokusy pijany, plugawy, „ulicznik“, olbrzymi tęgi chłop o czerwonej twarzy i rudych włosach na rękach: przy płaczącej cichemi łzami kobiecie i chorem dzieckiem na ręku, siedzi i wyśpiewuje wesole fabryczne pio senki jakiś dziwny typ, z ubrania mnich, z czynów i słów—dawny i stały mieszkawiec więzienia... A w nocy... W nocy tu dzieją się rzeczy straszne, ohydne i ponure, które zgnilizną przepajają ciała i dusze, rozpaczą mózg i nienawiścią serca.

Prawie za wsze po nocach wrywa się tu policja śledcza, czyni rewizję, sprawdza dokumenty kogoś bije, kogoś wlecze do więzienia, a wszystkich przeraża i nuży do reszty.

I tak noc po nocy... tygodnie i miesiące do chwili, aż bezrobotni wieśniacy, których bardzo wykształcił przytułek nocny wydali się wynajmującemu robotników na „czarne roboty“ dość obeznanymi z miastem, gdyż szybko i śmiało odcinal się na każde słowo, a nie kłaniali się do ziemi, zuchwale patrząc w oczy nie uchylali czapek przed świętymi obrazami i nie mieli w oczach nic, oprócz nienawiści i zimnej rezygnacji.

Od tej chwili zaczynało się dla nich życie fabryczne, a po nim albo więzienie albo powrót na wieś wraz z nowymi obyczajami i chorobami.

Jednem z najbardziej lubianych zajęć chłopów

tórzy szli do miast na zarobek było ładowanie barek i okrętów oraz burłactwo.

Tu zawsze była możliwość zarobić na dzienne utrzymanie, a nęciło każdego, który strawił długie dnie i tygodnie w poszukiwaniu pracy, w błakaniu się o głódzie i chłodzie obojętnymi ulicami miasta lub w przytułkach nocnych. Nęciły jeszcze te zajęcia i dlatego, że tu nie było żadnych władz i żadnych praw. Człowiek był uważany za zwykłe bydlę, jak koń lub muł, czy też za maszynę. Płacono za wysiłek fizycznej pracy i tylko to ceniono w człowieku.

Mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, wcieleni do jednej naprężenie—ruchliwej, dokonywającej szybkich i silnych ruchów kupy, pracują do zapamiętania się w warunkach upału, zimna, brudów fizycznych i moralnych. gdyż żadne prawodawstwo nie troszczy się o tę tłuszcę dorywczych robotników, których, być może, jutro już tu nie będzie. A jaki kalejdoskop typów, jaki chaos myśli i uczuć tego tłumu. Młoda dziewczyna wiejska obok zbiega-zbója z więzienia kryminalnego, uciekinier z klasztoru, pół-mnich, pół-włóczęga z byłym urzędnikiem rządowym, którego alkohol doprowadził do ładowania barek. Tatar obok Fina, kałmuk-budysta obok zwolennika starej prawosławnej wiary, typowy zdemobilizowany, zepsuty do szpiku kości ulicznik z wielkiego miasta tuż przy niepiśmien-

nym, młodym chłopie, któremu się śnią jeszcze lasy i jeziora dalekiej ponurej wsi.

Ładują węgiel, drzewo opałowe, belki, deski, arbuzy owoce, beczki ze śledziami lub masłem.. Wszystko tu jest pozwolone, oprócz kradzieży, i tylko zatem śledzą bacznie i surowo. Cała zaś gromada pracujących powinna cały czas być w ruchu, i tylko w południe praca zostaje przerywana i w ciągu godziny robotnik musi się posilić i wypocząć. Tu się kształtują na swój ład charaktery, tu moralność pierwotna zmienia się w rozpustę ohydłą, w chwilach wypoczynku pod wpływem rozbitków życiowych—„byłych ludzi“ nieznacznie odbywa się werbunek przyszłych mieszkańców więzienia .. i nie zupełnie dobrowolnych kolonistów dla Syberji.

Ładowanie barek i statków odbywa się w lecie, a więc te setki i tysiące ludzi—mężczyzn, kobiet i dzieci urządzają dla siebie obóz tuż przy brzegu morza lub rzeki w lesie lub krzakach. Wszyscy są razem, i powoli znika skromność, wstydlivość, instynktowny szacunek dla kobiety i pozostaje ponura pogarda człowieka do człowieka. A na tem tle odgrywają się dramaty i płynie męczeńskie, beznadziejne życie z dnia na dzień, bez jutra, bez przyszłości.

Maksym Gorkij Skitalec i cały szereg powieściopisarzy tej realistycznej szkoły, brali tem

ty z życia tego zdeklarowanie, zwyrodniałego pod wpływem moralnej chorobliwości — proletariatu którym później tak znakomicie posiłkował się rząd Lenina i Trockiego. Iż była chwila, gdy taki były robotnik barek pełnił czynności... ministra przemysłu i handlu w Piotrogradzie. Był to niejaki Francuzow, który w lecie ładował barki z drzewem lub służył jako wiosłarz dla przewożenia publiczności od gmachu Senatu do Ministerstwa Przemysłu i Handlu stojącego na przeciwległym brzegu rzeki Newy.

Jeszcze bardziej jaskrawy obraz zupełnego zdziczenia ludzi daje nam tradycyjne, liczące poza sobą kilka stuleci istnienia „burlactwo“.

„Burlak“ to ten bezdomny bezprawny robotnik, który z powodu swej przeszłości i z braku dowodów osobistych (paszportów), nie może bez obawy trafienia do więzienia lub na ławę sądową zjawić się w mieście. Szuka więc pracy w miejscu ustronnem, gdzie nikt nie będzie wymagał od niego żadnych dokumentów, i spełnienia przepisów prawnych.

Takiem miejscem i taką pracą jest ciągnięcie za sobą liny ciężkich barek na wielkich rzekach rosyjskich. Setki takich barek płyną na Wołdze, Okie, Kamie, Dnieprze i innych.

Ciągnie je na linie powoli ruszająca się brzegami kupka burlaków. Jest to ciężka, straszliwa

praca! Od wiosny do późnej jesieni idą „burlacy“, ciągnąc wcinającą się w piersi ramiona i plecy linę ciężkiej barki, śpiewając zachrypniętymi głosami ponure pieśni, z czasów dawnych rozbójników Pugaczowa, Razina, Jermaka i Kolca. Tu w tych burlackich artelach wychowała się i wzmożła nieprzebragana nienawiść do zorganizowanego społeczeństwa, do prawnej państwowości, do sądu, władzy i kościoła.

Jeśli niegdyś burlactwo wydało sławnych watażków, którzy byli postrachem głównej handlowej arterji Rosji—Wołgi, a których naród, z usposobienia anarchistycznie nastrojony, rozpromienił aureolą „zemsty za lud“, to w czasach „czerwonej Rosji“ — ta zemsta znalazła swoich wykonawców, a pośród nich byli i tacy, na ramionach i piersiach których jeszcze nie zatarły się ślady „lamki“ — tej pętli z liny od barki, którą to pętlę wlekli na sobie burlacy setki lat.

Gdy wszyscy ci burlacy, ludzie, ładujący barki, władcy morza, wiedźmy, czarownicy i poganie, przelewający krew czarnego kozłęcia lub koguta, szerzyli w narodzie rosyjskim ciemnotę, rozpustę, nienawiść i bezprawie, — w stolicach dwór carski, arystokracja, bankierzy i wyższy kler prowadzili życie świetne i wesołe, jakiego nie знаła Europa, uczeni pisali wiekopomne dzieła, rosyjscy ministrowie na dworach cudzoziemskich podnosił czar ro-

syjskiego imienia, wytwórczości, nauki, sztuki i historii narodu, a Tolstoj ten bezsilny, o niewolniczej psychologii półmyśliciel, półromantyk głosił filozofję „niesprzeciwiania się złemu“. Takimi kontrastami żyła Rosja, ale nikt tych kontrastów nie widział, czy też nie chciał widzieć, tak samo jak i w chwili obecnej nikt w cywilizowanych państwach nie chce widzieć obok górnołotnych hasel komunistycznego socjalizmu miliona mogił niewinnych ofiar, straconych przez nowych „apostołów“ oraz usmażone głowy i nogi ludzkie, które żywi się obecnie „bogobojny, potulny, szlachetny, zdolny do kultury naród rosyjski, pamiętając, że zbiegowie z Sachalinu i katorgi nie raz zjadali swoich towarzyszy, gdy głód groził im śmiercią“.

### Kobieta i dzieci.

Jakimi pięknymi typami kobiet rosyjskich obdarzyli literaturę Turgieniew, Niekrasow, Puszkina, Gonczarow, Lermontow!... lecz na zachodzie Europy nie chciano zwrócić uwagi na to, że to były kobiety ze starych rodów szlacheckich, z rodzin arystokratycznych, z domów gdzie kwitła cywilizacja zachodnia, przeważnie jeśli nie wyłącznie francuska.

Ale już inny mocarz rosyjskiego pióra Teodor Dostojewskij, a za nim piewca mieszczaństwa rosyjskiego, Antoni Czechow, lub też apologeta chłopskiej moralności Leon Tolstoj dają zupełnie inne portrety.

Kobieta średniej klasy społeczeństwa rosyjskiego jest osobnikiem „bez typu“. Dla niej nie znalazło się miejsca wśród ludzi w Rosji. Nie posiadała praw ogólnoludzkich, z punktu widzenia cywilizowanego człowieka, a jej duchowym zapotrzebowaniom odpowiadał „szary płot“ z opowieści Czechowa, jednostajne, bezbarwne życie bez treści: mąż pijak lub zidjociały, pyszny ze swego uniformu i rangi prowincjonalny drobny urzędnik, zadowolona rodzina, z której pochodziła, plotki małomiejskie, gnuśno-mieszczańskie romanse, które się kończą niesmakiem i wstydem, bez cienia dramatu nawet.

W takiej atmosferze niezadowolenia, rozgoryczenia, szukania wrażeń, które umożliwiłyby to szare, wsysające jak bagno życie, kobieta zmuszona była wychowywać dzieci. Co z nich uczyni? Rosyjscy autorzy dają odpowiedź.

Z chłopców wyjdą „ojcowie“ lub ich antyteza — rewolucjoniści.

Z dziewcząt — te same typy „bez typu“, jęczące, żalące się na życie — zdolne tylko do zrodzenia podobnych do siebie istot, bez woli, w naj-

lepszym wypadku kobiety zdolne do pasywnego protestu lub męczennice, nikomu nieznane, a więc nie pozostawiające śladu po sobie.

Dostojewskij tworząc apokaliptyczny obraz Rosji, wyszukując w społeczeństwie rosyjskiem taką straszliwą ilość „bieszczów“, „antychrystów“, dał kobiecie tylko jedno miejsce—ofiary temperamentu męskiego, albo też ofiary jego najczęściej pełnych zboczenia, nie zrównoważonych, mglistych jak wszystko w Rosji dążeń i porywów. W swoim wirze szalonym i bezdennym życie niesie ku otchłani moralnej lub fizycznej śmierci te bezsilne, bezwolne istoty, — matki i żony z mieszczaństwa rosyjskiego.

Leon Tołstoj wyobraża kobietę chłopkę, albo półpogankę, zaczarowaną mistycyzmem nieznanym jej tajemnic przyrody, lub ciemną jak noc zbrodniarkę, lub też jedną z milionów samic nawpółwierzęcego jeszcze gatunku<sup>1)</sup>.

Być może, taki stan rosyjskiej kobiety rzucał ją tak często w krwawe, ogniste objęcia rewolucji, w szal bolszewizmu i wstrętnej w swem okrucieństwie zemsty, do obozów skrajnych, poza prawem działających stowarzyszeń i ugrupowań.

Być może, taka sytuacja kobiety uczyniła

<sup>1)</sup> Nie mówię tu o typach z pierwszych dużych powieści Tołstoja. A. O.

z niej naogół bezmyślnie dostępną dla mężczyzny istotę, która szuka nie uczucia, a tylko wrażeń sposobów zapomnienia się.

Heroizm, odwaga, szlachetność rosyjskiej kobiety są instynktowym protestem przeciwko jej stanowi niewolnicy, bezprawnego czynnika życia społecznego i państwowego.

Obecnie zaś przy rządach sowietów, otrzymawszy prawa „człowieka i obywatelki“, kobieta została wyrwana z ramek rodziny, zmuszona do ciężkiej pracy na równi z mężczyzną porwana wirami, którymi miota ją tuż w towarzystwie mężczyzn, coraz bardziej zatracających poczucie szacunku dla kobiety, i nieznacznie staje się „socjalizowaną“ kobietą.

„Dekret o socjalizacji kobiet“ nie ogłoszony przez rząd sowietów został dokonany przez życie, stworzone przez sowiety, gdyż pozbawiona rodziny, moralnej opieki ojca, męża lub brata, zmuszona oddać dzieci do komunistycznego przytułku, gdyż niema czasu na wychowanie i środków na wyżywienie, ratuje dziecko, oddając je do „przytułku dzieci III Międzynarodówki“, rozczarowuje się w przestarzałej nauce o moralności, traci poczucie godności kobiecej, podlega przepisom niewydanego dekretu, wieść o którym tak zaniepokoiła i wzburzyła świat cały, który jednak nie wie, że

dekret ten został z całkowitą ścisłością praktycznie przeprowadzony w życiu rosyjskiem.

We wsiach okropne obchodzenie się pijanych lub dzikich mężów z żonami, wymyślania od ohydnych, hańbiących słów, bicie omal, że do śmierci—to jest życie kobiety wiejskiej.

Dzieci tracą do matki szacunek, nie przyznają jej powagi i władzy moralnej, a gdy dorastają, nieraz zaczynają bić i znieważać matkę, którą przecież przez całe życie był jak psa ojciec, głowa rodziny i pan i władca!

Należy zauważyć, że nigdzie jak w Rosji, nie daje się ustalić tej olbrzymiej różnicy, która zachodzi pomiędzy rodzicami i dziećmi, jeżeli w klasach inteligentnych ta różnica może być objaśniona postępem nauki, umysłowego rozwoju, zmianą poglądów na życie, na wsi jest tylko jedna przyczyna—upadek moralności u młodych pokoleń.

Mieszkając w Rosji carskiej, a później sowieckiej, miałem możność obserwować taki upadek moralności wśród młodzieży włościańskiej i robotniczej, że chyba nie znalazłbym słów, którymi mógłbym opisać, nie obrażając etycznych uczuć czytelnika, to straszliwe, pełne brudu, ohydny, zbrodni, a groźne dla rosyjskiego narodu i całej ludzkości życie młodzieży, która powinna zastąpić w życiu społecznym i państwowym obecne pokolenia.

Rząd rosyjski nigdy nie starał się o przedostanie się w głąb mas narodowych. Doprawdy, anegdotą wydać się może artykuł znanego rosyjskiego publicysty p. Konduriszkina, który podał w r. 1917 nader sensacyjne informacje co do wsi i osad europejskiej Rosji i Syberji, gdzie nigdy nie widziano żadnego przedstawiciela rządu lub kościoła.

Toteż z tych wsi i osad wychodziły prastare rzesady, zabobony, czary, które w naogół ciemnej i z natury mistycznie nastrojonej masie narodu szybko się szerzyły i ustaliły, nadając odcień średniowiecznego, żywiołowego romantyzmu o formach pierwotnych, niechrześcijańskich i antycwilizacyjnych.

Jak możemy traktować np. takie wypadki, które doskonale pamiętam z czasów mojej młodości?

W małym miasteczku Borowiczy w gub. Nowogrodzkiej był znany już stary człowiek, Pietia, od urodzenia idjota, lecz z pewną manją religijną. Ten stary, chudy staruszek, w lecie i zimie chodził w brudnym płóciennym ubraniu, bez obuwia i kapelusza. Chodził, modląc się godzinami przed każdym kościołem, lub obrazem, wesoło wyśpiewując jakieś krotocwilne piosenki i bawiąc się tilkoma drzazgami, które wtykał sobie w długie powichrzone włosy na głowie i w brodzie.

Tłumy chłopców i dziewcząt goniły go, tar-

gając za brodę i ubranie, ciskając w niego kamieniami i wyśmiewając się. Pietia umykał, śmiejąc się, dziatwę swymi dziwacznymi susami i jeszcze bardziej podbudzając ją do żartów, nieraz złośliwych i okrutnych.

Pewnego razu Pietia, uciekając, i drażniąc swoich młodych prześladowców i dręczycieli, wywiódł ich za miasto i ukrył się pod wielkim stogiem siana, do środka którego wpelzł i skąd zaczął wyć jak pies. Dzieci nie mogły zmusić Pieti do wyjścia więc, jedno po drugim weszły do kanału wewnątrz stoga. Na to tylko czekał warjat. Po chwili stóg płonął olbrzymim płomieniem, w którym zginął Pietia i dzieci.

— Rząd zamiast tego, aby dawać takim chorobliwym typom przytułek w specjalnych instytucjach puszczał ich wolno, a oni pod nazwą „bożych ludzi“ byli poważani przez bogobojnych mieszczan i chłopów i dręczeni przez dziatwę.

Chorzy na histerję i epilepsję też są bardzo szanowani w sferach półinteligentnych. Histeryczki czyli „klikuszy“ są uważane za szczególne Boże istoty. W chwili ataków, gdy te chore wiją się w konwulsjach lub krzyczą i śmieją się, przeklinają lub płaczą naprzemian, znawcy czynią na podstawie ich słów wróżby i przepowiednie. Te „klikuszy“ grały czasem przy carach nawet pewną polityczną rolę. Tę rolę odgrywało kilka takich

chorych kobiet przywiezionych z różnych krańców imperjum, nawet w Carskim Siole, w apartamentach mistycznie nastrojonej rosyjskiej cesarzowej Aleksandry, księżniczki Heskiej. Przy Sowietach to pozostało bez zmiany, epileptycy, histerycy i „klikuszy“ otrzymali prawo zemsty nie tylko względem dzieci, lecz i względem „burżuazji“, nieraz stojąc na czele „warsztatów zemsty“, jakimi są „czerezwyczajki“, czyli „czeki“.

Ci epileptycy i histerycy byli zrodzeni przez kobiety, na śmierć bite codziennie przez ich pijanych mężów, lub przez całe życie uskarżające się na swój „zgubiony los“, jęczące nad sobą, do żadnej roboty nie zabierające się i nie szukające realnego wyjścia ze znienawidzonych przez nie życiowych warunków.

Znani rosyjscy psychiatrzy i psychologowie jak Bechtierew, Mierzejewskij, Karpińskij, Wwenskij otwarcie mówili, że zatraszająca ilość psychicznie nienormalnych ludzi w Rosji carskiej była skutkiem nienormalnych warunków życia kobiet — zom i matek.

W Sowieckiej zaś Rosji pod wpływem grozy teroru i niemożliwych, nieludzkich warunków życia w tym „najwolniejszym z krajów“ w r. 1919 ilość psychicznie chorych dochodziła do 4. 8 milionów. Tożto przecież stanowi ludność nie jednego z mniejszych państw Europejskich!

## Zamordowanie Romanowych, ruch mistyczny.

W kołach monarchistów energicznie podtrzymywana jest pogłoska o wyratowaniu cara i jego następcy z niewoli bolszewickiej. Jest to spekulacja polityczna.

Co do pogłoski o istnieniu cara Mikołaja II, to muszę zaznaczyć, że to jest apokryf, lub polityczna legedna. Materiał śledczy zebrany za rządów Kołczaka przez sir George Eliotta oraz specjalną Komisję Śledczą, moje nareszcie rozmowy w Omsku z aresztowanymi żołnierzami, obecnymi przy egzekucji carskiej rodziny, i nareszcie spotkanie się w Tientsinie z bratem bezpośredniego mordercy — Jurkowskiego nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do stracenia całej rodziny Cara.

Pozwolę sobie uczynić to małe odstępstwo od mojej opowieści i przytoczyć rozmowę z Jurowskim, która zupełnie była w zgodzie z tem, co wyznali aresztowani przy Kołczaku w Jekaterynburgu żołnierze z warty więzienia carskiego.

Z Moskwy przyszedł rozkaz likwidowania Romanowych, — opowiadał mi Jurowskij, — lecz musiano to uczynić w ten sposób, żeby cała odpowiedzialność padła na miejscowy sowiet Jekaterynburga, który powinien był zachować pozory

samodzielnego działania i wyroku nad carską rodziną. Organizacja sprawy była polecona memu bratu, który udał się do bataljonu ochotniczego III Międzynarodówki i oznajmił mu, że miejscowa „Czeka” wydała wyrok śmierci na cara i jego rodzinę, i że dziś ochotnicy mogą się pomścić na carze za uciemiężenie narodu. Lecz ochotnicy milczeli, i nie znalazło się wśród nich nikogo, któryby chciał zamordować Romanowych. Słowem powtórzyło się to, co już raz miało miejsce, gdy moskiewski sowiet chciał zamordować cara w Tobolsku. Wtedy mój brat, wzięwszy ze sobą kilku Łotyszów i Madjarów w nocy udał się do domu Ipatjewych, zmienionego w więzienie dla carskiej rodziny, i oznajmił carowi, że on wraz z żoną i dziećmi będzie przeniesiony do przygotowanego dla nich lokalu w piwnicy domu i to natychmiast. Car obojętnie przyjął tę wiadomość, rodzina zaś bardzo się przeraziła; zaczęły się szlochania, krzyki i prośby. Wtedy mój brat uspokoił wszystkich, twierdząc, że załoga Jekaterynburga po części się zbuntowała i żąda śmierci Romanowych. Sowiet zaś postanowił bronić cara, a dla technicznego ułatwienia obrony jest zmuszony przeprowadzić rodzinę do piwnicy. Carowa i córki szybko się uspokoiły i dziękowały memu bratu, ściskając mu dłoń. Gdy Romanowych przeprowadzono do piwnicy, brat oznajmił im, że są oni skazani na śmierć i podał

sygnał do strzału. Żaden z żołnierzy jednak nie strzelił. Wtedy mój brat wystrzałem z Koltą zabił Czarę. Rozległa się bezładna strzelanina, po której przy życiu pozostała tylko carowa. Śmiertelnie raniona podniosła się z ziemi, schwyciła poduszkę z łóżka stróża i kryjąc się za nią, przerażliwie zaczęła krzyczeć. Wtedy jedyny rosyjanin-żołnierz, będący wśród Łotyszów i Węgrów, pchnął ją bagnietem w pierś przez poduszkę i dobił. Nad rankiem ciała porąbano, wywieziono do lasu polano naftą i spalono.

To mi opowiadał brat Jurowskiego, członka Kolegium Jekaterynburskiej „Czeki i mordercy carskiej rodziny

Więc widzimy zatem że pomimo zupełnie ustalonych danych o śmierci Romanowych w partji monarchicznej istnieje mistyczne przekonanie, że ostatni car jest uratowany i myśli o losach całego kraju, mając na myśli opamiętanie się swego „ukochanego narodu“, całą siłą pary dążącego do zagłady cywilizacji, moralności kościoła i samej Rosji, która już od roku przeszło stała się tylko pojęciem geograficznym, nienależącym do nikogo terytorjum, zaludnionem przez anarchicznie nastrojone tłumy topiące resztki swojej inteligencji, swojej kultury swojego prawa do miana człowieka.

Nie dziw więc, że podczas, gdy socjaliści-emigranci, zwalczając się wzajemnie, marzą jeszcze

o socjalistycznym raju, aby tylko bez Lenina, Trockiego i „Czeki“, — inteligencja rosyjska, coraz bardziej łącząca się z monarchistami, zaczytuje się Apokalipsą, szukając w niej przyszłych dróg dla Rosji. Jest to straszny objaw bezwoli, słabości absolutnej i obłędu niebezpiecznego.

Ten ruch apokaliptyczny zjawiał się pod wpływem Rasputina, nie dlatego jednak aby ten tajemniczy awanturnik propagował go. Odwrotnie! Kilku wybitnych dostojników kościoła prawosławnego zaczęło uważać Rasputina za Antychrysta. Gdy wybuchła pierwsza rewolucja i cały ruch anty-dynastyczny i anty-państwowy wskazywał na zliżającą się katastrofę w Rosji, studjowanie „objawień apostoła Jana“ stało się nieomal jakąś manją, która przeszła później w sferach wyższych w modę, w dowód arystokratyzmu ducha. Na czele tej antypaństwowej ideologii stanęło czworo ludzi syn wielkiego księcia Konstantego — Joann arcybiskup Omski Sylwester, biskup Nowogrodzki Jewdokim i biskup Tobolski Pimen

Bardzo interesująca postacią był wielki książę Joann. Chrześcijański mistyk, zagłębiany w studjach ksiąg kanonicznych starego, wschodniego obrządku człowiek, odczuwający pociąg do ascetyzmu i ostro krytykujący zdeprawowane życie Carskiego Sioła, takim był książę Joann Lubianin w sferach uprawiających mistykę chrześcijańską, otoczony

czcią ze strony duchowieństwa, marzący o mnisim habicie, był on przedmiotem wydrwiwań w sferach dworskich, gdzie szczególnie odznaczał się dowcipami pod jego adresem minister spraw wewnętrznych Mikołaj Makłakow, znany twórca anegdotek dowcipów, i krotochwil, które zdecydowały jego karierę, i powołały go w dardzo odpowiedzialne dobie na posterunek ministra, regulującego wzburzone życie kraju. Książę Joann był zapisany na „czarnej liście” dworskiej, tak skrzętnie prowadzonej przez wszechwładnego komendanta Carskiego Siola i alter-ego hrabiego Frederyksa, — generała Wojejkowa, nigdy się nie zjawiał na carskich przyjęciach i chętnie był widziany w salonach liberalnie lub mistycznie myślącej inteligencji. Ciekawą jest rzeczą, że gdy się zjawiały pierwsze dążenia kościoła prawosławnego do utworzenia patriarchatu dla obrony i utrwalenia wschodniego greckiego kultu i dla walki z katolicyzmem, pierwszym kandydatem na tron patriarchy był młody ks. Joann. Rewolucja jednak unicestwiła te plany, gdyż książę Joann został zamordowany przez bolszewików w Ałapajewsku.

Nie mniej interesującą, lecz daleko wybitniejszą postacią jest biskup Jewdokim. Pochodzenia chłopskiego, człowiek o wysokim wykształceniu straszliwej siły woli, asceta, przy pominający kapłanów pierwszych wieków chrze-

ścijaństwa, o ideologii sekciarskiej, Jewdokim pozyskał ogromny wpływ na swoją diecezję, a sława jego sięgała daleko. Będąc jednym z przywódców walki z Antychrystem, zawdzięczając swoim wpływom został na swoim posterunku przy bolszewikach, którzy obawiali się go więcej niż patriarchy moskiewskiego i wszechrosji Tichona. W 1921 r. Jewdokim nagle rozpoczął agitację na korzyść oddania bogactw i kapitałów cerkiewnych i klasztornych na rzecz pomocy głodnej ludności Rosji. Agitacja ta miała zupełne powodzenie. Sowiecki rząd zaraz wszedł w bliski stosunek z autorem tak wygodnego dla bankrutującego komunizmu projektu. Jewdokim zaczął pracować z Sowietami. Lecz nie zmiana poglądów biskupa i nie cele humanitarne prowadziły go do pomocy Sowietom, upadającym pod ciężarem ekonomicznych powikłań. Jewdokim też się uciekł do wypróbowanego w Rosji sposobu walki — prowokacji. Biskup zrozumiał, że bolszewicy obawiają się w Rosji tylko jednej pozostałej siły — wpływu kościoła i jaknajmniej po pierwszym wybuchu październikowej rewolucji, dotykali tego niebezpiecznego dla siebie punktu. Trzeba było sprowokować prześladowanie kościoła.

Bolszewicy opierając się na pomocy biskupa Jewdokima, rekwirowali bogactwa i majątki kościoła, lecz potrochu stawali się bardziej zuchwałymi i zaczęli dopuszczać się grabieży. Popi i para-

fianie stawiali opór, wynikały starcia, surowe wyroki i poważne krwawe walki, które znajdowały posłuch w innych miejscowościach, i w ten sposób myśl walki o kościół ze „sługami Antychrysta“ szerzyła się. — Jednak Sowiety zwyciężyły. Najpierw biskup Jewdokim, a zanim sam patriarcha Tichon ulegli sowietom i stali się ich wiernymi pomocnikami, ku wielkiemu zgorszeniu ludu, kościoła i emigracji rosyjskiej — Idea walki o kościół zgasła, jak wszystkie szczytne hasła Rosji.

---

### „Dawni bogowie” w kulcie chrześcijańskim.

Pewnego razu polując w gubernji nowogrodzkiej, w lasach około stacji kolejowej Lubań, zamieszkiwałem w małej wsi Marjino. Niedaleko od wsi był majątek książąt Golicynych, największych arystokratów rosyjskich, potomków Ruryka.

Pewnego wieczora gospodarz chaty, w której zamieszkałem, niejaki Bazyli Batonin tajemniczo szepnął mi do ucha.

— Czy nie chce pan iść na „radenje“<sup>1)</sup> Chłystów?

Wiedziałem, że Chłysty są sekciarzami, i że „radenja“ ich, czyli religijne misterja odznaczają się nadzwyczajną dzikością. Kierowany ciekawością zgodziłem się.

Była już godzina 9-ta wieczorem i zapadła ciemna noc jesienna.

Wyszliśmy z domu, skierowaliśmy się w stronę majątku książęcego. Mój gospodarz wprowadził mnie do jednej z dużych oficyn, otaczających podwórze.

---

<sup>1)</sup> Radenje — nabożeństwo

W ogromnej sali panował zmrok, gdyż tylko siedem woskowych grubych świec paliło się w różnych końcach dużej sali. Było duszno i parno, ponieważ nie mniej niż 80 osób — mężczyzn i kobiet dorosłych i zupełnie młodych, prawie podlotków, tłoczyło się tu. W głębi sali stał stół nakryty białą serwetą. Ujrzałem prawie zupełnie zczerniały od starości święty obraz, dużą kropielnicę i jakąś grubą księgę w drewnianej oprawie. Na stole paliła się tylko jedna świeca.

Przy stole, wyobrażającym ołtarz, stał barczysty chłop o długich, czarnych włosach okolonych na czole wąskim czemymkiem i o starannie utrzymanej brodzie.

Gdy tłum ustawił się równymi szeregami i umilkły odgłosy kroków i szeptów barczysty chłop przeczytał jakiś starosłowiański tekst z księgi i zaczął czynić na czole i piersiach znaki krzyża, po każdym klękając i schylając się do ziemi. Zauważyłem, że ruchy jego stawały się coraz bardziej gwałtowne i szybkie, i że oczy obecnych z naprężeniem w jakimś obłędzie wpatrywały się w tego „kapłana”. Nareszcie porwał się na równe nogi, i krzyknawszy „Módlcie się i czyncie ofiary”, schwycił z leżącej w kącie sali kupy prętów długą różgę <sup>1)</sup> i zaczął się smagać przez plecy, przez głowę. Gdy różga kilka razy ze świstem przecięła

<sup>1)</sup> Po rosyjsku — „chłyst” — kępa — nazwa rekty

powietrze, przypomniałem sobie krwawe misterja derwiszów, których widziałem w Turcji i na Krymie. „Kapłan” tymczasem zrzucił bluzę i koszulę i obnażył się do pasa. Smaganie różgą wzmoгло się i stawało się szybszem i silniejszym. Cały grzbiet był pokrzyżowany czerwonymi pręgami, aż nareszcie trysnęła krew i cienkim strumieniem spływała z pleców. Wtedy cały tłum wraz z moim gospodarzem rzucił się do różeg. Zaczęło się masowe smaganie. Rozległ się swist mocnych i giętkich prętów, ciężki oddech zebranych, jęki. Obecni zaczęli zrywać z siebie ubrania, aby torturowanie doprowadzić do szczytu.

„Kapłan” zaś, ciągle się smagając prętem, jął się obracać na jednej nodze, kręcić się i skakać. Niektórzy z obecnych zaczęli go naśladować, a po kilku minutach cały tłum zaczął się kotłować, bijąc się wzajemnie prętami, coś bełgocząc i wykrzykując z jękami i tęsknotą w głosie.

Niektórzy wkrótce upadli, upadł także i kapłan, a inni wciąż skakali i obracali się około własnej osi, deptając po leżących.

Powietrze było przesycone parą, wyziewami spoconego, znużonego ciała, zapachem butów i brudnej bielizny. Ktoś zaczął gasić świece, a gdy pozostała tylko jedna stojąca na ołtarzu, mogłem dojrzeć tylko kupy zwalonych jedno na drugie półnagich ciał męskich i kobiecych, zziębniętych, broczących krwią, półmartwych.

To jest „radienie”.

Nie wiem jakie teksty z Biblii mogły powołać do życia taką potworną, chorą psychicznie i moralnie sektę, sądzę, że początku jej szukać należy w apokryficznych księgach, których wielka ilość była gromadzona przez dłuższe czasy w chrześcijańskim, bizantyjskim Imperjum, zawsze złączonym z Rosją bliską łącznością moralną i religijną.

Sekta „chłystów” szczególnie rozpowszechniła się za panowania cara Pawła I, przedstawiając się nie tylko do domów bogatych kupców, lecz nawet do arystokracji i Dworu. Komendant mrocznego pałacu Pawła, gdzie ten car w kilka lat później został zaduszony przez przybocznych dworzan, wraz z całą rodziną był wyznawcą tej sekty. Istnieje opowieść o tem, jak się to stało.

Komendant miał bardzo ładną córkę, która była nastrojona religijnie. Otóż „Chłyści” uplanowali wykorzystać tę cechę jej charakteru, aby, wciągnąć ją do sekty, a przez nią zjednać dla siebie jaknajwięcej wpływowych ludzi przy Dworze Cara, gdyż wtedy już zaczęły krążyć pogłoski o zarządzonych dochodzeniach sądowych i prześladowaniach sekty. Do młodej panny posłano syna bogatego kupca, wyznawcę „chłystostwa”. Ten się zapoznał z nią, bardzo się podobał i zaczął bywać częstym gościem w apartamentach komendanta. Pewnego razu, mówiąc o „chłystach”

zainteresował ją i zaprosił na misterje sekciarskie. Młody kupiec był wtedy kapłanem. Jego ekstaza religijna, głos natchniony i piękna powierzchowność podobały się pannie w tak niezwykłych okolicznościach i mistycznym nastroju jeszcze bardziej.

Szczególnie zaś porwał ją zachwyt i podniecenie wtedy, gdy młody kapłan zaczął rutynowe taniec. Obracał się tak szybko, że nie można było rozejrzeć twarzy, a później doprowadził szybkość obrotów do takiego stopnia że w pokoju zerwał się wicher, który zgasił wszystkie świece.

Chociaż panna przystąpiła do sekty, wciągnęła do niej całą rodzinę i licznych arystokratów. Paweł I jednak miłościwie ścigał „chłystów” kazał ich smagać batami i kijami na placu przy dźwiękach bębnów wojskowych i posyłał na Syberję. Sekta od tego czasu prawie znikła w stolicach, chociaż pamiętam że w r. 1911 w Petersburgu wykryto misterja chłystowskie, uprawiane przez kupców i niektóre arystokratyczne nawet rodziny.

• Siedzibą „chłystostwa” są gubernje: jarosławska, saratowska i ufińska, gdzie przebywają i ukrywają się w kupieckich domach najwybitniejsi kapłani tej sekty.

Istnieje jednak sekta, być może jeszcze bardziej niemoralna.

Gdy w Petersburgu, lub Moskwie zwiedzało się te dzielnice miasta, gdzie się mieściły małe rosyjskie kantory wymiany pieniędzy, rzucały się w oczy żółte, zwiędłe, ospałe, pozbawione zarostu twarze mężczyzn, otyłych, posiadających prawie kobiece formy.

Te twarze i figury należały do właścicieli tych kantorów, do drobnych bankierów, stanowiących jakby osobną kastę ludzi.

Wszyscy oni są „skopcami“, wyznawcami specjalnej sekty, która głosi, że ludzkość istnieć będzie do tego czasu, dopóki w społeczeństwie będą ludzie, którzy dobrowolnie pozbawiają siebie, możliwości przedłużania rodu. Do tego też czasu podobno, nie może przyjść na świat „Antychryst“

„Skopcy“ nazywają siebie „białymi gołębiami“, co znaczy niewinnymi. Jedni stają się „skopcami“ od niemowlęcych lat, inni w dojrzałym wieku. W rodzinach od wieków należących do tej sekty, zawsze powinien być „biały gołąb“, lub „biała gołębica“.

Gdy zaś nikt z rodziny nie chce stać się „gołębiem“, wtedy, nie żałując środków, „skopcy“ skłaniają obcą osobę do wstąpienia do sekty i przyjęcia „pieczęci białego gołębia“.

Jednak bardzo baczny nadzór nad temi praktykami rozciągała policja, a sądy w Rosji surowo

je karały: jednak podtrzymywanie „skopstwa“ w tradycyjnie sekciarskich rodzinach tolerowano.

Jarosławska i kostromska gubernje, — skąd pochodzą wszyscy ci bardzo bogaci bankierzy o żółtych, zwiędłych twarzach, od kilku wieków były siedzibą tej sekty.

Podstawy religijnego pochodzenia sekty nie są mi znane. lecz muszę tu zaznaczyć, że w najsurowszych klasztorach prawosławnych istnieje ponury, średniowieczny rytuał przyjęcia: „Wielkiej pieczęci“, gdy mnich poddawany jest operacji pozbawiającej go męskości.

Są to więc, jak widzimy, jakieś prastare pozostałości dawnych kultów, może braminizmu, derwiszizmu, a może jeszcze starych kultów Egiptu i Babilonu. W kultach Astarty i Izydy są ślady podobnych rytuałów, które przeniknęły do chrześcijaństwa, a są tak jaskrawie wyrażone w sekcie „skopców“.

Ta sekta kilkakrotnie bywała energicznie prześladowana przez rządy rosyjskie, lecz zawsze szczęśliwie wychodziła z ciężkich okoliczności, zawdzięczając ocalenie dużym kapitałom, nagromadzonym w rodzinach, należących do sekty.

„Skopcy“ są powolni, spokojni, rozumni ludzie o wielkim sprycie handlowym i przebiegłości. Są jednak mściwi, złośliwi i z pogardą patrzą na ludzi, nie należących do sekty.

Pierwsi „skopcy” istnieli już w I wieku naszej ery i „pieczęć białego gołębia” nigdy nie zanikała w chrześcijaństwie. utrzymała się jednak do XX wieku tylko w kościele wschodnim. Za panowania Pawła I-go „Skopców” prześladowano i kilka rodzin zostało zesłanych na Syberję, aż do jakuckiej gubernji. Jest to najbardziej zimna część Syberji, gdzie gleba w lecie odmarza tylko na 6 cali i gdzie lato jest krótkie i zimne.

Byłem w tych posępnych miejscowościach męki i wygnania, gdyż tu właśnie rząd rosyjski wysyłał na długie lata najbardziej niebezpiecznych dla siebie rewolucyjnych działaczy. Jest to kraj dziewiczych lasów, olbrzymich rzek i niezbadanych bagien, lecz są tam oazy kultury. Założył je zesłani za czasów cara Pawła I-go „skopcy”. Zastosowali się do klimatycznych warunków i nauczyli się otrzymywać urodzaje ziemniaków i zboża, drogą selekcji wychowawszy specjalne gatunki tych ziemiopłodów. Hodowla bydła u „skopców” gubernji jakuckiej rozwija się doskonale. Nie chcą stamtąd wracać do Rosji, chociaż oddawna dostali amnestję, gdyż na Syberji łatwiej im podtrzymać tradycje sekty, która tam właśnie posiada swój normalny ośrodek, swoją Mekkę.

## Ofiarna krew.

Groźnem echem rozległa się przed kilkunastu laty w Rosji wieść o ponurej sekcie „samopodpalaczy”. Na jej czele stali przybyli z Bałkanów sekciarze bracia Rakitskije. Pracując w granicach południowej Rosji, szczególnie zaś w guberni Jekaterynowławskiej, bracia potrafili zgromadzić wkoło siebie znaczną, bo przekraczającą 500 ludzi, sektę „samopodpalaczy”.

Idea tej sekty była taka. Na ziemię przyszedł Antychryst i sieje ziarna grzechu. Ten siew z każdym rokiem daje większy i coraz straszliwszy plon. Ludność tonie w bagnie grzechów. Nic jej uratować nie może, oprócz dobrowolnie oddawanej, przez ludzi własnej krwi ofiarnej. Mówiąc językiem zwykłym, ludzie powinni kończyć życie samobójstwem dla dobra innych.

Długo, w ciągu szeregu lat, trwała ta niezdrowa propaganda. Władze nic o niej nie wiedziały aż kiedyś kilkunastu ludzi z jednym z Rakitskich na czele, śpiewając pieśni nabożne, podpaliło chatę, w której byli zebrani i zginęło w ogniu.

Rozpoczęły się dochodzenia sądowe i wtedy to wykryto ślady całej dość już szoroko rozgałęzionej sekty „samopodpalaczy”. Bracia Rakitskije

byli uwięzieni i zesłani na Sachalin\*,) na ciężkie roboty, lecz jeden z nich, będąc w więzieniu, poał się naftą z lampki i podpalił się, poczem umarł w szpitalu więziennym.

W tym rodzaju i na tym samym podłożu religijnym istniała sekta Stefana Kolesnikowa, z którą miałem możność osobiście się zapoznać.

Kolesnikow w gubernji permskiej założył sektę samobójców. Wierni podczas modłów przerywali sobie gardła. Po pierwszych samobójstwach Kolesnikow był schwytany, osądzony i zesłany na wyspę Sachalin. Udało mu się jednak stamtąd zbiec i, skrywając się przed władzami, mieszkać w gubernji tomskiej, wędrując z miejsca na miejsce.

Podczas swoich naukowych podróży po Syberji, zwiedzałem południową część gubernji tomskiej. Mieszkając we wsi Skokowo, robiłem rekonasance geologiczne w różne strony. Pewnej niedzieli, błąkałem się po lesie ze strzelbą, szukając zwierzyny. Naraz zauważyłem, że ścieżką leśną ciągną chłopci, oglądając się trwożnie; niektórzy z nich nawet kryli się w krzakach. Gdy przeszli podążyłem za nimi i wkrótce zobaczyłem dość duży dom, z krzyżem na dachu. Zrozumiałem, że był to jakiś sekciarski kościół, potajemnie tu wzniesiony. Było to w roku 1901, gdy walka z sekcia-

\*) Ponura, prawie niezaludniona wyspa na Pacyfiku.

rzami już prawie ustała w Rosji. Więc pytałem siebie — kto i poci się tu kryje?

Niepostrzeżenie wszedłem do domu i wsunąłem się do najciemniejszego kąta.

Około trzydziestu chłopów miejscowych, wysokich, barczystych myśliwych, o czarnych włosach i oczach zgromadziło się w półciemnej izbie. W kącie wisiał wielki obraz Chrystusa w wienku cierniowym, prawie czarny od starości. Przed nim paliło się kilka cienkich świeczek z wosku. Chłopi cicho szeptali pomiędzy sobą i nabożnie kładli znaki krzyża na piersiach, z trwogą patrząc na wysoką, chudą, ruchliwą postać człowieka o bladej, zmizerowanej twarzy i pałających oczach. Był ubrany w długą sutannę mnisz, przepasany szerokim skórzanym pasem, miał powichrzone, już siwiejące włosy i niewielką czarną brodę.

Zwrócił się do obecnych i szepnął dobitnie i ostro:

— Proście, aby Bóg nawiedził nas!

Wszyscy zaczęli modlić się, rzucać się na kolana, bić pokłony, patrząc zażwawionymi oczami w czarną surową twarz Chrystusa.

Wysoki, chudy mnich ukląkł, rozłożył ręce i wbił swoje pałające oczy w obraz, coś szepcząc blademi ustami i groźnie ściągając brwi.

Naraz zerwał się i wybiegł z chaty.

Wszyscy zamilkli i nie ruszali się. Cisza

grobową zapanowała w izbie. Słysząc było oddech ludzi i lekki trzask palących się świeczek. Z poza ścian i przez jedyne małe okienko dochodził głuchy szum puszczy leśnej.—groźny, ponury głos... Podnosił się wiatr, gdyż po niebie sunęła czarna obiecująca burzę i ulewę chmura.

Naraz doleciał nas zdaleka pełen zachwyty głos mnicha:

— Oto przyszedłeś, Panie, do oczekujących na Ciebie sług gotowych oddać swą krew ofiarną za grzechy ziemil... Panie łaskawy, miłosierny, wszechmocny!...

Głos mnicha zbliżał się do chaty, to potęgując się do krzyku triumfalnego, to znów zniżając się do tajemniczego szeptu, pełnego ekstazy, zachwyty i trwogi.

Widziałem, jak zebrani zaczęli dygotać, szczerkać zębami i nerwowo zaciskać ręce.

— Biada nam, biada!... szeptali drżącymi ustami i opuszczali powieki, by nie widzieć oblicza przybywającego Boga.

Las zaczął huczeć pod uderzeniami wichru, który wył i gwizdał. Wpadające do izby fale jego podmuchów, zmuszały płomyki świec do kołysania się w różne strony, przyczem to gasły, to znowu się rozpały. Od tej gry światła przez ciemne oblicze Chrystusa przebiegały i miotaly się po niem cienie, ożywiając oczy i usta. Zdawa

ło się, że Chrystus patrzy i oczekuje chwili, aby przemówić.

Mimowoli odczułem dreszcze, biegnące po całym ciele. Przeczuwałem coś strasznego...

Naraz tuż przy drzwiach rozległ się poważny, natchniony, drgający od wzruszenia głos mnicha.

— Wstąp, Panie wszechwładny, i przyjm ofiarę dzieci twoich!

Ujrzałem mnicha. Na kolanach, schylony do samej ziemi, z wyciągniętymi błagalnie rękami, czołgał się tyłem do izby, jak gdyby widząc kogoś przed sobą i wskazując mu drogę.

Naraz porwał się na nogi i przeraźliwym, zrozpaczonym głosem, drżącym od bólu i zgrozy, zaczął wykrzykiwać:

— Nie odchodź, Panie! Wielki Boże, zostań z nami. Czas ofiary naszej przyszedł...

Błyskawicznym rzutem odwrócił się do zgromadzonych, objął ich płomieniem swoich oczu i, chwytając się za głowę bladymi rękoma, jął wyrzucać chrapliwe, pełne rozkazu i siły woli słowa

— Odchodzi, odchodzi... przed nami znowu męki, grzech, katusze!... Proście, proście Wielkiego, aby powrócił. Krwią swoją proście!... Prędejl... Natychmiast!... Śpieszcie się!... Śpieszcie!...

Jakiś młody o czarnych, skośnych oczach chłop krzyknął przeraźliwie, a cienko, jak dziecko rzucił się naprzód. W tęku na moment błysnął

szeroki myśliwski nóż, a po chwili z głuchem charczeniem człowiek padł na ziemię... Z poderżniętego gardła płynęła struga krwi, a na ustach zbierało się coraz więcej krwawej piany.

Mnich rzucił się na kolana przy konającym, położył mu ręce na głowie i szeptał modlitwę... Gdy samobójca skonał, mnich wstał. Twarz jego jaśniała natchnieniem i zachwytem. Wyciągnął ręce w stronę drzwi i krzyknął triumfująco.

— Padajcie na twarz, bo oto przyszedł Bóg!

Rozległ się ogłuszający, wstrząsający całą ziemią łoskot pioruna. Gdy nareszcie olśnione błyskawicą oczy były w stanie rozejrzeć wewnątrz izby, zobaczyłem, że wszyscy chłopci leżeli na podłodze, twarzami, wyciągnięci na ziemi i drżący z przerażenia.

Mnich stał przed obrazem z rozkrzyżowanymi rękoma i modlił się gorąco, z natchnieniem, a łzy mu płynęły z olbrzymich szeroko rozwartych, błędnych oczu.

Był to Stefan Koleśnikow: — znalazłem przypadkowo misterjum sekty „samobójców”. W ciągu tego lata około 18 chłopów zakończyło w tak sposób swoje życie pod wpływem hypnozy Koleśnikowa i pierwotnego, żywiołowego strachu przed objawami natury, co tak umiejętnie potrafił wykorzystać zbrodniczy mnich...

## Najprostszy z „bogów”.

Wszystkie te sekty mają, bądź co bądź, pewne historyczne lub kanoniczne podłoże. Lecz istnieje na północy Rosji sekta, której pochodzenia nie można objaśnić, temi przyczynami.

Spotkałem tę sektę na północy permskiej gubernji.

Widziałem wielkie zgromadzenie wieśniaków ciemnych, półdzikich niepiśmiennych, wycieńczonych walką i surową naturą. Stali leniwie i apatycznie wpatrzeni w ścianę i nieociosanych belek przekładanych mchem. Pewnie o niczem nie myśleli, chyba że o chlebie i wódce. Ale po pewnym czasie do ściany podszedł jeden z chłopów i zaczął wiercić dziurę w belce. Przewiercił belkę i pomału, ostrożnie, z nabożenstwem zaczął wyciągać z niej świder.

Wyciągnął padł wraz z innymi na kolana i przeraźliwym głosem jął wyc.

— Dziuro nasza, dziuro święta, pomagaj nam!

Te modły do dziury i belce trwają godzinami.

Kto pierwszy wynalazł tego najprostszego z bogów — dziurę w ścianie. Kto był założycielem tej sekty dzikiej, idiotycznej, strasznej w swym obłędzie i ciemnocie?

Nikt nigdy nie badał tej kwestji, a teraz gdy już przeszło wiele lat, wydaje mi się, że być może, znajduję klucz do rozwiązania tej zagadki.

Północne obszary Rosji, kilkomiesięczna noc zimowa zniknięcie słońca, zimno, beznadziejność, tęsknota... Ciemne chaty, o oknach zaciągniętych zastępującym szkło pęcherzem, zasnutym skorupą lodową i przysypanych śniegiem, aż pod strzechę. Przez wywierconą dziurę w ścianie do ciemnej izby wpada snop promieni księżycowych, czy wprost zaledwie wyczuwalnych blasków tego światła, którem jest zawsze przepojona cała natura, a więc lód, śnieg, obłoki, kamienie...

Czy tym więźniom mroźnej, nieskończenie długiej nocy ta dziura w ścianie i ten snop ledwie dostrzegalnych promieni nie przypominają chwili zjawienia się słońca?

Narodziny słońca! Myt słoneczny... Myt w pierwotnej, ponurej, jak noc polbiegunowa, formie... Lecz i ludzie tam inni. Jest to kraj zapomnianych przez Boga i ludzi plemion.

### Święto djabła.

Zawsze i ciągle za czasów chrześcijańskich Rosja, przyjąwszy krzyż za swoje godło, lecz utrzy-

mawszy w sektach i obyczajach stary pogański rytuał — chciała instynktownie, bezwiednie nawet z pobudek leżących na dnie duszy tych plemion lasów pól gór, we krwi tak bogatej w pierwiastki prawie pierwotnych koczowników, przechować jakieś łącznik „dawnymi bogami” które zdawało się, dawno już umarły, zniszczone bądź to rękami ludzi, bądź też przez czas.

Tak było nawet w ostatnim perjodzie imperjum rosyjskiego, za carów, gdy Dwór Petersburski imponował całemu światu, gdy cywilizowana Europa zachwycała się rosyjską wyrafinowaną nad wyraz arystokracją i inteligencją, rosyjską literaturą i sztuką, rosyjską wsią tak poetycznie opisywaną przez popularnego Tolstoja, gdy tak dużo mówiono i rozprawiano o duszy rosyjskiego narodu, studując tę „duszę” w najlepszych inteligentach powieściopisarzach, lub żołnierzach gwardji carskiej.

Nikt z cudzoziemców nie zajrzał w mrok rosyjskiej prowincji, gdzie obok poganina-koczownika roilo się od „biesów” różnych gatunków.

Przyszły nareszcie inne czasy. Czasy „dyktatury proletariatu”, komunizmu, bolszewizmu i so-wietów — wszechwładnych, tonących we krwi so-wietów, na czele których stanęły osobniki pozba-wione religji, przesądów, tradycji przeżytków dawnych pogan, i niedawnych koczowników. Pa-nowanie materialistycznej myśli, władza speku-

tywnej filozofji, zabiegi o dobro ciała. Precz z duszą! Nie istnieje żadna dusza, jest tylko „para”! Tak mówili dawni, ledwie piśmienni, półciemni nihilisci rosyjscy, którzy wyszli z kuźni, kopalń i więzień. Tak powtarzali, tylko w innej formie retorycznej, „ludowi komisarze” — dyktatorzy, wypuszczając z milionów Rosjan tę niepotrzebną „parę”

Przyszły więc czasy wielkiego i prawdziwego racjonalizmu i radykalizmu. Musiały zatem zniknąć z horyzontu wszystkie religijne sekty, kulty, przesady? Musieli chyba skończyć samobójstwem swe mroczne życie wszyscy ci czarownicy, wróżbiarze, wiedźmy i kapłani dawnych bogów?

Tymczasem widzimy całkiem inny obraz.

Nigdy tak nie kwitła i nie stała wysoko powaga i sława, — nigdy nie jaśniał z równą potęgą mistyczny urok kościoła, nigdy nie były tak potężnymi niegdyś tajne świątynie sekciarskie, nigdy nie były tak uczęszczane misterja „chłystów”, nigdy tak ściśle nie przechowywała się „pieczęć białego gołębia”, nigdy tak namiętnie nie garnał się prosty, znużony, wygłodzony lud do czarowników i nigdy nareszcie wróżbiarstwo nie miało tak zdumiewającego wprost powodzenia i znaczenia w życiu całego społeczeństwa rosyjskiego.

W kościołach prawosławnych nieprzebrane tłumy pobożnych, leżąc krzyżem, zanoszą modły

do Najwyższego, prosząc już nie o ratunek dla siebie, lecz dla kraju. Żadne prześladowania i urągania nikogo nie straszą więcej. Bywały wypadki, gdy bolszewicy wpadali do kościoła i strzelali, usiłując przerazić i rozpędzić modlących się. Lecz napróżno wszystko! Żadnej paniki, a tłum nawet głowy nie poruszył na odgłos strzałów. W takich chwilach widać, jak Rosję opanowała mistyczna gotowość aby umrzeć męczeńską śmiercią a szczęśliwy los następnych pokoleń rosyjskiego narodu.

Podczas Wielkanocnego Nabożeństwa w r. 1918, bolszewicy w Moskwie wpadli do kościoła gdzie odprawiał mszę sam patriarcha wszechrosyjski Tichon. Nikt z tłumu nie poruszył się nawet, wtedy jeden z komunistów strzelił do Patriarchy i zranił go w rękę. Patriarcha nie obejrzał się i modlił się dalej, aż wreszcie zwrócił się do tłumu i zaintonował radosną pieśń religijną: — „Chrystus zmartwychwstał”. Zapal nie do opisania zachwyt i ekstaza opanowały tłumy. Bolszewicy zrozumieli ten nastrój i niezwłocznie opuścili kościół.

Podobny nastrój podniecenia religijnego panuje we wszystkich sektach.

Wyznawcy starej wiary stali się jeszcze bardziej ostrożni w stosunku do ludzi innych wyznań; we wsiach starowierskich zapanowała jeszcze bardziej surowa moralność i dyscyplina; zostali

srowadzeni z poza kordonu rosyjskiego najsłynniejsi kapłani i biskupi sekty dla obrony od niszczącej społeczeństwo moralnej zarazy sowietów: starowiercy wycofali z czerwonej armji swoją młodzież, chętnie za to płacąc wysokie podatki. Kościoły i „skity“ przepełniły się pobożnymi, oczekującymi przyjscia Djabła, słudzy którego już uczynili ohydny, śmiertelny siew grzechu i zguby.

„Chłysty“ liczą setkami tysięcy wyznawców swojej sekty, która w pewnym stopniu daje zapomnienie się, oderwanie się od niemożliwych warunków życia, stworzonego przez sowiety, i przyjmuje jakiś czynny fizyczny udział w odpędzeniu Djabła, odgłos ciężkich kroków którego rozlega się zewsząd.

Lecz „Chłysty“ już nie biją się różgami z brzozy i wikliny, lecz zwinietami drutami, lub żelaznymi prętami, rozpalonymi do czerwoności.

„Więcej męki, więcej znęcania się nad własnym ciałem, więcej krwi!—wołają kapłani sekty,—a walka z Djabłem będzie skuteczniejsza i, być może, zakończy się zwycięstwem, po którym pokój i szczęście zapanują na ziemi przepojonej krwią i zarażonej grzechem“.

Bolszewickie dzienniki na początku r. 1920 wyśmiewały się z jakiegoś kapłana—chłysta, który zwrócił się do rządu sowietów z listem takiej treści:

— Czy nie widzicie djabła? Oto idzie w ogniu pożogi, która krwawi mu lica i dłonie, dąży w płaszczu szkarłatnym od krwi. Głowa jego sięga czarnych, wysoko mknących chmur, brzemiennych piorunami i grzmotami, a ciężkie stopy żelazne wyciskają z ziemi krew ludzką, burzą miasta miażdżą tłumy niewinnych ludzi i grożą ludzkości zagładą. Czyż nie widzicie, czyż nie słyszycie, odgłosu jego ciężkich kroków, rozlegających się zewsząd? Ratucie lud, ratujcie kraj, ratujcie siebie póki czas. —

Sekciarze i niesekciarze widzą Djabła na ziemi rosyjskiej. Może mają powody ku temu? Myślę, że tak...

W miastach rosyjskich—od Petersburga i Moskwy do najmniejszych prowincjonalnych miasteczek—wszędzie znaleźć można dopiero teraz, przy dyktaturze sowietów, założony kult Djabła. Był on nawet półoficjalnie popierany przez sowieckie władze i niektóre prywatne grupy. Cel tego jest zrozumiały: — zadać cios chrześcijaństwu, uderzyć w kościół, stary kult, który posiada podstawy etyczne, tak bardzo wrogie ideologii racjonalizmu komunistycznego. Djabolizm rozpoczął się od młodzieży. Czytano historję Juljana Apostaty, dzieła o djablistach różnych epok, zaznajamiano się z kultem Bala Babilońskiego, zachwycano się Djabolizmem, przypominano dzieje tajemniczego Kaliostro,

wertowano „historję czarnej magji“, kabały, tłomaczono urywki z dziejów „Świętej Inkwizycji“, gdy ta walczyła z wyznawcami kultu djabła w Hiszpanji i Holandji. Te studia przygotowały glebę do przyjęcia antytezy Chrystusa: — Djabła Belzebuba, Mefista Szatana, Antychrysta.

Wtedy rozpoczęła się bahanalja rozpętania moralno - religijnego. Odprawiano czarne msze, gdzie komunje podawano w postaci krwi ludzkiej i niektórych elementów ciała, wszystko to było w formie ohydnej, niemoralnej, zwyrodniałej, psychicznie zepsutej do rdzenia.

Zjawiły się kapłanki Djabła, przeważnie z grona aktorek kabaretowych, lub kokot. Wynurzyły się z głębi społeczeństwa ciemne postacie znawców kultu djabolistycznego, jacyś pozbawieni za rozpustę i zbrodnie kapłaństwa popi, jacyś pijani, zwarjowani i zdeklasowani mnisi, jacyś „uczeni“, którzy przez całe życie studjowali historję kultów.

W Petersburgu słynie jako kapłanka Djabła była aktorka z Odessy: niejaka Irena Heinzl, która jednak ma zupełnie inne nazwisko i imię, a była naczelniczką i katem w więzieniu bolszewickim w Ufie, gdzie odznaczała się okrucieństwem, znęcając się nad wrogami sowietów i własnoręcznie strzelając do nich. Jej rozpasanie moralne, jej straszliwie krwawa „przeszłość“ nadają tej kapłance Szatana szczególnego uroku i rozgło-

su. Często jest zapraszana na solenne nabożeństwa, czarne misterje do innych miast, gdzie jej zboczenia, histerja i patos wywierają silne wrażenie.

Nie mniej jest znany i popularny wśród djabolistów pop Eljasz, bardzo czytany i wymowny, podniecający tłum, rozpustny i chory na epilepsję. W przeszłości był mnichem i zadusił służkę klasztorne, za co był zesłany na ciężkie roboty na Syberję. Przy bolszewikach powrócił i zajął wkrótce bardzo poważne wśród Djabolistów stanowisko.

Djabolizm obecnie w Rosji liczy bardzo wielu wyznawców i posiada znaczne kapitały, które wciąż się mnożą. Prowadzona jest energiczna propaganda tej ideji, istnieją wydawnictwa specjalne; wszystko to wraz ze świetnością rytuału pociąga coraz więcej ludzi, szukających wśród ohydy i niewolnictwa rosyjskiego życia jakichś wrażeń, jakichś ogni przewodnich, jakiegoś wstąpienia nerwowego, gdyż obecnie więzienie, kara śmierci, stałe znęcanie się głód i nędza już nie poruszają i nie podbudzają nerwów.

Ludzie zubożeli na wczystko, a żyć czemś potrzeba... A więc pociągają ich sekty, rozpusta, morfina, Djabolizm...

Pierwszy element jest wrogi sowietom i komunizmowi rosyjskiemu, inne — sprzyjają mu. Wewnętrzna polityka sowiecka jest skierowana na szerzenie rozpusty, gdyż ona rozluźnia więzy ro-

dzinne, społeczne, państwowe i cywilizacyjne, por-  
czem komunizm i to, co on tai w swej głębi, spo-  
tyka coraz mniej oporu i przeszkód, szerzy się  
i zwycięża. Stąd tolerancja państwowa rozpusty  
śród młodzieży, dorosłych, a nawet dzieci. Natu-  
ralnie, że Djabolizm jest szczytem rozpusty, to też  
napotyka na jawne i tajne podtrzymanie władz rzą-  
dowych i zupełnie zdawałoby się, prywatnych grup  
i organizacji.

A więc Djabel przyszedł na ziemię...

Widzą go sekciarze, widzą go kapłani, kap-  
łanki, i wyznawcy kultu szatana, Ale czy to Sza-  
tan, Djabel, Belzebub?..

Nie! — przeczą duchowne sfery prawosław-  
ne — To pewno nie on, to przyszedł poprzednik  
jego — Antychryst...

Ta kwestja była bardzo długo i poważnie roz-  
patrywana i rozważana na zjazdach kleru w No-  
wogrodzie, Moskwie, Jarosławiu, Kijowie, Czerni-  
howie i Omsku w 1919.r.

Zapoczątkowali ten ruch biskupi Jewdokim  
Sylwester i metropolita Makary.

Zaczęło się od jakiegoś namiętnego wprost  
pociągu do czytania rewelacji św. Jana Apostoła,  
czyli Apokalipsy. Płomienne, mgliste, mistyczne  
słowa Apokalipsy dały bodźca do prorocstwa i wróżb.  
Niejasne daty i obrazy pobudzały ciekawość i po-  
ciąg, do wykrycia tajemnicy. Nikt nie chciał pa-

miętać o tem, że znany rosyjski uczony N. A. Mo-  
rozow twierdził, że apostoł Jan opisywał widziane  
przez niego bardzo rzadkie zjawiska astronomiczne  
i ujął je w tajemniczą, poetycką formę widzenia  
i przepowiedni mistycznej. Znałem bardzo uczo-  
nych profesorów, którzy całe godziny wczytywali  
się w powikłany tekst Apokalipsy, który, zapew-  
ne przed bolszewikami znali tylko z nazwy.

Powstała olbrzymia literatura komentująca  
Apokalipsę, czyniąca praktyczne wnioski, realizu-  
jąca mglistość przepowiedni i prorocstw. Niema za-  
kątka ziemi w Rosji, gdzie nie dotarłaby ta mi-  
styczna literatura. Nic nie przemawiało do rozumu  
zaślepionych, życzących wierzyć w to, o spełnie-  
niu czego marzyli tak gorąco i tak długo. Gdy  
wskazywano, że wszystkie terminy, podane przez  
Apostoła Jana, już dawno minęły, a nic się nie  
zmieniło w Rosji, że przepowiedziany władca imie-  
niem Michał nie może być carem Rosji, gdyż je-  
dyny wielki książę tego imienia—Michał Aleksan-  
drowicz został w Permie zabity przez bolszewi-  
ków, gdy śmiano się z potwora apokaliptycznego,  
z jeźdźców na koniach białych, czarnych i szkar-  
łatnych, w których chciano koniecznie widzieć  
Anglię, Japonję i Francję, albo znowu Denikina,  
Kołczaka i Wrangla <sup>1)</sup>, w odpowiedzi dawano

<sup>1)</sup> Znani przywódcy antysowieckich grup rosyjskich.

objaśnienia. — niemniej mgliste od samej Apokalipsy, i powoływano się na tajemnicę i przekonaniem, które zachwiać zdawało się niemożliwym, ponieważ wygłaszający je musiał albo wierzyć, albo umrzeć z beznadziejności i rozpacz.

Gdy inteligentne klasy i mieszczaństwo zaczytywało się św. Janem, kler rozpoczął agitację wśród mas ludu. Setki, tysiące bezrobotnych po zamknięciu klasztorów i kościołów — mnichów i popów zaczęło pracować w masie wieśniaczej i robotniczej.

Apokalipsa, apokryfy osobista pomysliwość, improwizacja, wymowa, pjetyzm, ascetyzm, wszystko było uruchomione w celu propagandy idei Antychrysta w Rosji.

— Antychryst już się narodził i już gromadzi wojsko swoje nierządne i zbrodnicze. Już posłał sługi swoje, aby zgubić, zniszczyć najbogatszy z krajów i ludów — Rosję i lud rosyjski. Oto tam, gdzie byli „pomazańcy boży” — carowie, gdzie modlili się wielcy patryarchowie, gdzie leżą zwłoki świętych cudotwórców — tam teraz tłuszcza wrogów Boga i Krzyża czyni wolę Antychrysta! —

To jest główna idea ruchu...

Trzeba dowieść tej idei, osiąść namacalne oznaki jej istnienia.

Tu się zaczyna średniowiecze w całej jego ciemnej, ponurej rzeczywistości.

Z liczb apokaliptycznych jak było za wojny Napoleońskiej z Rosją, z liter nazwisk komisarzy ludowych składają imię Belzebuba, Szatana i szukają właściwego imienia Antychrysta.

Znajdują oznaki przyjscia „ostatnich czasów” w zjawiskach astronomicznych i zwykłych codziennych przejawach natury. Zaćmienie słońca i księżyca, spadające gwiazdy, kształt i kolor chmur — wszystko to mówi do przekonania wyznawców idei Antychrysta, wszystko nasuwa im straszliwe, zatrważające myśli. Urodził się gdzieś chłopiec o długich rudych włosach, lub zielonych oczach, przyszła na świat dziewczynka, mająca od urodzenia kilka zębów, lub dłuższe niż zwykle paznokcie na palcach, — to są dzieci Antychrysta, jego poprzednicy!

Wiele takich niemowląt, zrodzonych w tym ciemnym okresie czasu duchowej rozterki, zabito wrzucono do rzeki.

Czasami nowonarodzone niemowlę przy pierwszym krzyku, wymawia jakieś jakgdyby podobne do imienia Belzebuba słowo. Jest ono sługą Szatana, którego chwali w chwili narodzin. W guberni Ołoneckiej było kilka procesów sądowych o to, że rodzice takie dzieci uśmiercali w łaźniach, oblewając je wrzącą wodą.

Ciele o dwóch głowach, lub pięciu nogach, skrzywione dziwacznie rogi krowy, lub kozy, po-

płatane lub powyginane w nieładzie gałęzie starych wiklin nabierają specjalnego znaczenia i dają powód do fantazjowania w pewnym określonym kierunku którym dąży zasugerowany, chorobliwy mózg

Dzikie zwierzęta, ptaki, ryby i owady, a szczególnie płazy i pająki dają dziesiątki dowodów istnienia Antychrysta i nieraz ze śladu czołgającego się na piasku węża, lub z misternej sieci pajęczej poszukiwacze Antychrysta wyczytują tajemnicze zgłoski jego imienia.

Nieoczekiwane pęknięcie naczyń, lub zwierciadła, trzask wysychających sprzętów drewnianych, nieobjaśnione głosy, rozlegające się w nocnej ciszy, — wszystko to pobudza wyobraźnię i powoduje domysły i określone twierdzenia.

Ludzie przypominają sobie powiedziane w bardzo dawnych czasach słowa różnych „bożych ludzi”, ubogich włóczęgów-idiotów, epileptyków, — „klikusz”, proroków wiejskich, historyków i wprost nikomu nieznanym przechodniów, którzy, pod wpływem ogólnej manji, nabrali cech tajemniczości. Wszystkie stare legendy, opowieści, proroctwa, jasnowidzenia, nawet te, które powstały przed wiekami, wywleczono obecnie, poddano przeglądowi i krytyce.

Słowem, na oczach ludzkości XX wieku stworzono straszną, beznadziejną legendę.

Lud ugina się pod jej zgrozą, szerzy się kokainomanja i morfinomanja i coraz bardziej szalone samobójstwa, gdyż ludzie, być może, zdolni są jeszcze, do walki z ludźmi, lecz walczyć z Antychrystem, który śmiało wystąpił przeciwko Twórcy Świata, nie mogą, gdyż jest to nierozsądzona walka. Więc przecinają sobie gardziele, wieszają się w szopach, topią się w stawach i bagnach, oblewają się wrzącą wodą, piją truciznę lub rzucają się w płomienie.

### Fetyszyzm słowa.

Rewolucja nigdy nie daje się ująć w ramki potrzeb danej chwili, a więc potoczyła się szybko naprzód. Car zrzekł się korony za siebie i za następcę tronu Aleksego. Były to ciężkie dla niego chwile, gdyż zobaczył z jaką łatwością odstąpili go ci wszyscy, którzy „ubóstwiali” go, gdy był carem. Było to ohydne widowisko spodlenia, tchórzostwa i chamstwa moralnego arystokracji. Przy rodzinie carskiej pozostało zaledwie kilka podrzędniejszych osób, które wytrzymały do końca i podzieliły z rodziną cara jej tragiczny los aż do zamordowania jej w Jekaterynburgu.

Pierwszy rząd rewolucyjny ks. Lwowa i drugi

Kiereńskiego były to rzędy, uprawiające mistykę, fetyszyzm słowa.

— Było słowo i stało się ciałem! — twierdzi Biblija.

Lecz słowo Lwowa, Milukowa, Kiereńskiego i tysiacy mówców rewolucyjnych, pozostało słowem, które przebrzmiało bez echa. Był to godny politowania obraz bezsilności i nędzy inteligencji rosyjskiej.

Nareszcie przyszło ciało.

Był to bolszewizm. Utopił we krwi monarchistów. Rzucił inne hasła, podłożem których było burzenie Rosji.

Komisarze ludowi: Wołodarskij, Dzierżyński i Pawłunowskij w „Czeku„ przy ul. Gorochowej pod Nr. 2 w Piotrogradzie czynili krwawą hekatombę, mordując tych, którzy wierzyli w wielką, potężną Rosję, w powrót do dawnego ładu.

Wojska Finnów, Łotyszów, Madziarów, Niemców i Chińczyków były na ich usługi i do ich obrony przeciw zakusom „kontr-rewolucji“.

Rozpłomienieni propagandą majtkowie [floty siekierami rąbali swoich oficerów, rozrywali ich na strzępy, znęcali się, wrzucali do wody w Wyborgu, aż się trupów porobiły tamy, burzyli i rabowali swoje pancerniki i sprzedawali maszyny, armaty, kulomioty i metal na rynkach stolicy i Finlandji.

Wszędzie lała się krew zabarwiając na jasny

krawy kolor „niekrwawą“ rewolucję o której marzono i rozprawiano w gmachu poselstwa angielskiego w Petersburgu.

Rzucając dla cywilizowanych państw szczytne hasła, śmiało, nowe słowa, olśniewając je stanowczością, rzutnością i energją. — nowy władca, — bolszewizm, w ciągu pięciu lat dokonał wielkich rzeczy.

Zwyciężył wrogów zbrojną ręką, zburzył Rosję, aż legła odlogiem, umierająca, krwią brocząca, zmienił polityczną konfigurację Europy [nieuznany dotychczas, zdobył oficjalne uznanie: na gruzach monarchizmu i socjalizmu założył nowe imperjum. Tylko dla władcy jego potrzeba nie jednej korony, lecz pięciu, albo 63. Pełny autokratyzm płynie po morzu socjalno-komunistycznych haseł, pozostających pustym dźwiękiem.

Europa zaczarowana, słucha tej cudownej pieśni słów — fetyszów, nie widzi, jak szerzy się rozpusta, choroby, głód i śmierć, nie słyszy trzasku gryzionych przez ludzi ludzkich kości, nie zagląda do lochów „Czeki“, nie chce rozumieć, że wszystko zostało po dawnemu w bolszewizmie i — zostanie, chociaż zmieniły się dekoracje, nazwy i, czasem, osobniki.

Bolszewizm toczy się dalej jak śnieżna kula i grozi już nie tylko propagandą swoich haseł, lecz milionami zgłodniałych, rozpaczonych i zdzicza-

łych ludzi, których może rzucić na Zachód: grozi „obudzoną Azją”, w której wzniecił już pożar, a płomień będzie tam miał obfitą strawę: — 800.000.000 ludzi! — którzy zacisnęli zęby i pięści, gdy podstępny bolszewizm i komunizm, ukrywając swe hasła prawdziwe, usłudźnie szeptał:

— Dalejże przeciwko białej rasie! Precz z cywilizacją chrześcijańską! My — z wami!

O tem już teraz nie szepcą, lecz mówią głośno i poważnie w Tybecie, Indjach, Mongolji i Chinach.

O tym dniu zemsty śpiewają Kirgizi, Kałmucy, Dżungarzy, Buriaci, Tatarzy i wodzowie odważnych chińskich chunchuzów...

Słyszałem te pieśni ponure i grozą tchnące na płaszczyźnie Cajdamu, na spadkach Bogdo-Ułu, na leśnym Tannu-Ola i na środkowej Hwang-Ho....

Do tego dąży tymczasem niefortunnie zaczęta „walka”, rewolucja rosyjska, rewolucja koczowników, samobójców, czarowników, wiedźm, chłystów i różnych innych, „biesów”, prawie apokaliptycznych potworów...

Zakończyła się ona prawdziwą kontr-rewolucją: — bolszewizmem, ruchem, skierowanym przeciwko socjalizmowi, państwowości i cywilizacji, a w rezultacie prowadzącym kogoś tymczasem nieznanego, na tron niewidzianych dotąd w swoim samowładztwie carów nowej dynastji.

Kogo?

Być może nowego Wielkiego Mongoła, Dżengiza — Temudżyna, lub Tamerlana Chromego...

A będzie on dla chrześcijańskiej cywilizacji Antychrystem, czarnym, czy czerwonym, antytezą ewolucji ducha i postępu, pierwszym zwiastunem zbliżającego się zaniku ludzkości.

Ten straszliwy cień już nieraz w dziejach ludzkości zjawiał się ze Wschodu, a był ponury, jak noc jesienna, jak dusza samobójcy.

K O N I E C.

# SPIS RZECZY.

|                                                    | Str |
|----------------------------------------------------|-----|
| Mroczne cienie wsi . . . . .                       | 7   |
| Szukanie skarbów . . . . .                         | 34  |
| Truciciele . . . . .                               | 37  |
| Pogaństwo . . . . .                                | 41  |
| Wiedźmy . . . . .                                  | 45  |
| Echa dalekiej przeszłości . . . . .                | 49  |
| „Śmiały przemysł” . . . . .                        | 57  |
| Władcy morza . . . . .                             | 59  |
| W mroku pałaców . . . . .                          | 65  |
| Czarne cienie . . . . .                            | 74  |
| Widma z Apokalipsy . . . . .                       | 82  |
| Fabryki niemoralności . . . . .                    | 96  |
| Kobieta i dzieci . . . . .                         | 106 |
| Zamordowanie Romanowych, ruch mistyczny . . . . .  | 114 |
| „Dawni bogowie” w kulcie chrześcijańskim . . . . . | 121 |
| Ofiarna krew . . . . .                             | 129 |
| Najprostszy z „bogów” . . . . .                    | 135 |
| Święto diabła . . . . .                            | 136 |
| Fetyszyzm słowa . . . . .                          | 149 |